

3/48 4048 II SIL 4

ZARANIE ŚLĄSKIE

4048 = wrys.
110 mm
11 cent



ROK X

ZESZYT 2

Na pierwszej stronie niniejszej okładki umieszczono drzeworyt Pawła Stellera, zatytułowany „Góral w guńce“.

SPIS TREŚCI:

<i>Kulisiewicz Franciszek, Kovalik — Źstiansky jako poeta Tatr i braterstwa polsko-słowackiego</i>	65
<i>O. Stateczny Euzebjusz, Z wieży Liebicha (dokończenie)</i>	76
<i>Hoff Bogumił, Hala Juraszków</i>	82
<i>Popiołek Franciszek, Z dziejów Śląska</i>	83
<i>Umiński Władysław, Moje wspomnienia z pobytu na Śląsku Cieszyńskim</i>	95
<i>Górniewicz Wł., Z dziejów oświaty na Śląsku Górnym</i>	97
<i>Notatki</i>	100
<i>Recenzje i sprawozdania</i>	104
<i>Materiały</i>	109

Redakcją kieruje Komitet.

Prenumerata wynosi rocznie 8 zł wraz z przesyłką pocztową, w Czechosłowacji 12 Kcz.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: CIESZYN, UL. STALMACHA 14.

P. K. O. Warszawa 180.524. — P. U. C. Praga 30.693.

(Konto Tow. Oszczędności i Zaliczek w Cz. Cieszynie.)

Poszczególne egzemplarze zamawiać można: w Księgarni Katolickiej w Katowicach, w księgarniach „Dziedzictwa“ i „Nowe Kresy“ w Cieszynie, oraz w księgarni Macierzy Szkolnej w Cz. Cieszynie.

Manuskryptów nie zwraca się.

Wydawca: Towarzystwo Ludoznawcze w Cieszynie.

Redaktor odpowiedzialny: Jerzy Szczurek

Druk wykonany czcionkami Drukarni „Dziedzictwa bl. Jana Sarkandra“ w Cieszynie.

ZARANIE ŚLĄSKIE

Rocznik X.

Cieszyn-Katowice, dnia 15 czerwca 1934.

Zeszyt 2.

Franciszek Kulisiewicz.

K 48/463
6.1. 300-
(5. v. 61.)
Kovalik - Ůstiansky

jako poeta Tatr i braterstwa polsko-słowackiego.

Motto:

Ó, pôda pol'ska, bratská zem
Vrúcné t'a kochám, milujem...

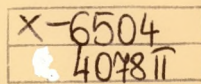
Kovalik, Báj Tatier, II, 18.

W związku z apelem Wacława Ol-szewicza (O polsko-słowackiej współpracy na terenie Śląska Cieszyńskiego, Zaranie śląskie 1934, str. 1—10) w sprawie opracowywania wzajemnych stosunków polsko-słowackich, wybrałem jako drobny odzew kwestji wzajemnego poznania się Polaków i Słowaków wogóle, poinformowanie polskiego czytelnika o bardzo ciekawym odcinku działalności literackiej poety słowackiego Kovalika-Ůstiansky'ego, senatora z partji ks. Andrzeja Hlinki*). Dwutomowe dzieło tego poety p. t. „Báj Tatier“ zasługuje może na uwagę polskiego czytelnika z tego względu, że zawiera ono przepiękne opisy Tatr zarówno polskich, jak i słowackich, jako też posiada charakter wybitnie polonofilski, ujawniający się w szczerym podziwie dla piękna ziemi polskiej, narodu

polskiego, jego wysokiej kultury i religijności. Odkładając na przyszłość osobne, być może, obszerniejsze studjum o polonofilskiej poezji słowackiej wogóle, pragnę zacząć od krótkiej charakterystyki poety bratniego narodu i dzieła, którego duże fragmenty uderzają czasem polskiego czytelnika oryginalnością inwencji poetyckiej i szczerą sympatją dla Polski. Nie będę poruszał w artykule szczegółowo i analitycznie licznych innych walorów dzieła, dotyczących serdecznej duszy słowackiej i narodu słowackiego, którego charakter, przejścia, dołę i niedołę, bóle i nadzieje w czasach niewoli i obecnie odmalowuje poeta w słowach tak serdecznych, że naprawdę poeta ten może być słusznie uważany za ważne źródło poznania duszy słowackiej pomimo, iż nie cieszy się on specjalnem uznaniem oficjalnej krytyki, zwłaszcza czeskiej, być może ze względów politycznych jako członek partji Andrzeja Hlinki i zdecydowany zwolennik autonomji Słowaczyny.

Dzieło Kovalika „Báj Tatier“ („Baśń Tatrzańska“), które sam poeta określa słusznie mianem liryczno-epicznej baśni, powstało w latach 1891—1893 w Górnej Orawie. Niektóre partje aktualne wsunął poeta w latach 1908, 1919 i 1924, a całość wydał po raz pierwszy w roku 1926 w Trnawie, po uprzedniej dłuższej korespondencji w sprawie jego wydania z szeregiem działaczy słowackich i wiel-

) Dr Jan Kovalik (1871), emerytowany profesor, senator stronnictwa ludowego ks. Andrzeja Hlinki. Pisywał pod pseudonimem Bohuznámy i Ůstiansky. Pierwszy tom swoich dzieł wydał w roku 1919 w Turč. Św. Marcinie, zaś omawiane obecnie dzieło wyszło w Trnawie w roku 1926. Naśladował Jana Bottę i Jana Kollara (Slávy Dcéra). „Báj Tatier“, wydany przez Spolok Sv. Vojtecha v Trnave, dedykuje autor „Andrejovi Hlinkovi, vodcovi slovenského národa.“ — Przepiszek Redakcji.



waczyźnie. Po krótkiej charakterystyce poczynaiń czeskich na Słowaczynie w duchu wyżej wspomnianym, poeta zwraca się do braci Czechów z następującą, jedyną w swoim rodzaju apostrofą (Cytuję partję końcową w przekładzie prawie dosłownym, I, 5):

Do Czechów.

Na Boga! coście to zrobili
Z dzieciną Tatr radosną,
Zeście jak gładem żyto zbili
Wczesną zasiane wiosną?
Słowaka przyszłość i nadzieje
Pchnęliście w przepaść czarną!
Któż weń krzepiącą siłę wleje,
Kto dołę zmieni marną? *)
On stoi grozą dziś przejęty,
Radość zamiera weń,
Wzrok jego przedtem czysty, święty
Straszny przeraża cień.
I opadają mu ramiona
Miał serdecznego uściśnienia,
Miłość braterska rozpalona
W szary się popiół zmienia.
Wacława rodzie, coś to sprawił?!
O zawróć z drogi, póki czas,
Abyś braterstwa nie zadławił,
Niezgodą nie rozłączył nas.
Wacława rodzie odrzuć przemoc
I bratu zostaw pracę, chleb,
Wiedz i on głodny, jego duszy
Nie rozgoryczaj, snów nie grzeb!
Ta ziem słowacka droga, słodka
Wyżywi wszystkie dzieci swoje,
Jak synów swych lubiąca matka,
Więc czemuż wszczynasz o chleb boje?
Wszak on wywalczy swoje prawa,
Myślicie, że nie dojrzał on?
Jemu się patrzy „samosprawa“**),
Godzinę tę wybije dzwon!

I poeta kończy bardzo silnem credo politycznem:

A na Slovensku Slovák gazda,
Jemu klas dáva jeho bráda,
On strážcom bude svojich dvier —
Tak bude pokoj, bude mier.

Po paru komplementach w stosunku do Czechów, że się to może kiedyś prze-

cież zmieni i musi zmienić na lepsze, przechodzi poeta do Polaków i zaczyna serdecznie (Dvom narodom, I, str. 8):

Do Polaków.

Dla cię, Polaku, coś mi bratem,
Jakaż mam zanieść, jaką wieść?
Młodości mej czarownym światem
Wichrom tatrzańskim dam się nieść,
Bo będąc w kraju swym otrokiem*),
Szczuty, niewolą bity,
Tu w Polsce wolny, łzawym okiem
Patrzyłem w Tater szczyty.
Krakowskie skarby miałem rad,
Te wolnych Słowian twory,
Krzepilem duszę, ja, twój brat,
Z niewoli ciężkiej zmory.
Lubiłem ten tatrzański świat,
Był mi nad życie miły,
Ma w nim swą częśćkę Polak brat,
W nim leżą Słowian siły.“

Następuje króciutka wyżej wspomniana krytyczna uwaga w sprawie pretensyj Polski do Spiża i Orawy, lecz krótką tę dygresję kończy poeta wezwaniem do zgody i wspomnieniem Matki Boskiej Częstochowskiej, którą poeta nazywa Opiekunką zarówno Polaków, jak i Słowaków**).

Porównanie tych dwóch apostrof samo wykazuje, jaką sympatją cieszą się Polacy wśród Słowaków, zwłaszcza jeżeli zważymy, że słowa te pisze senator. Naświetlają też one stosunek autonomistów słowackich do Czechów i naodwrot postępowanie Czechów na Słowaczynie, o ile idzie o ich sentyment słowiański w stosunku do Słowaków w polityce wewnętrznej.

Jak określić ten rodzaj poezji, jaki Kovalik uprawia w szeregu fragmentów swego dzieła, a specjalnie w części wyżej wspomnianej p. t. „Dvom narodom“? Sądzę, że najlepszem określeniem będzie

*) Otrók — niewolnik. Wyraz używany też na Śląsku.

**) Kult Matki Boskiej Częstochowskiej i Kalwaryjskiej jest na Słowaczynie bardzo rozpowszechniony. Obrazy Jej są po domach. Dawniej urządzano liczne pielgrzymki do Częstochowy i Kalwarji Zebrzydowskiej.

*) W oryginale jeszcze silniej: „Ktože ho pohromy tej prosti?“ — Przypisek tłumacza.

*) Autonomia, o którą walczy od początku powstania Č. S. R. partja ludowa ks. Andrzeja Hlinki.

Podobnie zresztą wyraża się o ziemiach Czech i Moraw, dla których tak samo jak dla ziemi polskiej żywi serdeczne uczucie braterskie*). Poeta mówi do Polaków (I 190):

Hej! jednejśmy matki dzieci,
Z miłością do was Słowak leci,
Hej! — prawych Słowian kocha on,
Zgodę tatrzański głosi dzwon.

W dalszym ciągu opisuje poeta pod postacią Horisława — Słowaka, który przewędrowuje świat i kształci się, ważniejsze momenty własnych przeżyć życiowych od lat dziecięcych. Kompozycja utworu rwie się na różne dygresje, nawet filozoficzne, coś à la nasz Beniowski. Dygresje te mają różnoraki charakter, przeważa element liryczny, zasadniczo jednak cechuje je głęboka religijność poety. Oto przykład (I, 101) p. t.

Życie.

Młodość jak sen, jak punkt, co błysnie
W świetlanej baśni otoczy,
Chwilczkę leci i pryśnie,
Jak bańka cieszy twe oczy.
Życie — zwierciadłem, co zrazu
Róże wskazuje zwodnicze,
Spojrzyj za chwilę, — a z niego
Śmierci spogląda oblicze.
Życie to krzew przemile
Kwitnących róży i woni,
Sięgnij po niego za chwilę,
Próchno się kruszy w twej dłoni.
Życie szukaniem dokoła
Bramy ukrytej w ciemnie, —
Świat pyta: „Gdzieś jest?” Świat woła:
„Pochowan! Szukasz daremnie.”
A jednak wieczność, — zbawienie,
Szczęście odzyska zpowrotem
Dusza od Boga stworzona
Ziemskiego życia przelotem.

Do najczęstszych jednak należą dygresje na temat wielkiej przyszłości Słowian. Liryzm duszy słowackiej, nadzieje i obawy patrioty, piękno rodzinnej ziemi słowackiej tworzą tu barwną mozaikę treści

*) Ciekawem jest, że poeta bardzo rzadko używa w utworze nazwy Czechów, raczej omawia ten termin różnymi określeniami.

poematu, często luźnie związaną tylko myślą przewodnią:

Vol'nost v práci žije;
Kto nepracuje svojimu rodu,
Ten svoju zapredal slobodu.

Ustępy liryczne, silne antytezy cichej, spokojnej duszy Słowaka, a burzliwych fal życia Słowaka-tułacza, na jakie go los skazał w czasach niewoli, należą do najpiękniejszych partyj tej części poematu pod względem artystycznym. Dla przykładu cytuję fragment (I, 239) p. t.

Świat a dom rodzinny.

Na świecie zawiść, — w świecie ból,
Strapienie ludzi gnębi —
I zębem szarpie duszę twą,
I serce rwie do głębi.
A w domu dzieci słodkie twe,
I żonka twa z pod strzechy —
Zdrój słodki w serce sączą ci
Serdecznej swej pociechy.

Na świecie burza, w świecie huk,
We świecie niepokój,
Prawda z podłością wiecznie tam
Ze sobą toczą boje.
A w domu żonka, słodkie dzieci,
Z ich oczek mir niebiański świeci.

Na świecie krzywda, w świecie gwałt,
Nienawiść światem włada,
Zniweczyć, zdusić, zagryźć chce,
Co dusza twa ma rada.
A w domu żonka, dzieci twe
Z radosną — miłą twarzą,
Z tęsknicą swą czekają cię —
Miłością swoją darzą.

Na świecie różnie, — w świecie znój,
Zmartwienia powiew mrozi,
Na świecie duszno, — pusto tak,
Horyzont burzą grozi.
A w domu dziatki drogie twe
I słodka twoja żona,
Tu życia baśń upaja cię,
Czarowna, baśń, wysniona.

Miejscami poemat rwie się (fabuły wyraźnej wogóle niema w poemacie), przechodzi w dialogi Horisława z ludem słowackim i jego działaczami, poeta składa hołd bojownikom i budzicielom narodu, a w barwnym tym dywanie nie brak nawet strofek o charakterze filozoficznym,

Milować każąc, boś mi brat.
Jednejmy dziećmi są macierzy,
Jednośmy społem mleko pili,
Na jednym progu się bawili,
Synowie jednej boskiej wiary;
Tyś Tatr jest synem i ja Tatr synem,
Tatry to nasza słodka mać,
Nas obu chroni Tater grań;
Niechże z nas będzie wierna brać!
Miłujmy się tak, jako trzeba,
Błogosławieństwo Bóg da z nieba.

Po tym wstępie następuje pięknie ujęta w formie opowiadania starego kościelnego ballada o wójcie Błaszyńskim, założycielu kościoła w Chochołowie. Poeta wzruszony wspomnieniem starych dziejów kościoła, każe się modlić swemu bohaterowi za polską ojczyznę. Oto jego słowa (II, 22):

V tichosti svätej stojí chrám,
V ňom Horislav sa modlí sam,
Modlí sa za pol'skú ojczyznu,
A v svätom tichu chvíle miznú.

Z cichych marzeń budzi go cudny śpiew rusałki z pod orawskich zamków, która na chórze śpiewa pobożną pieśń o Matce Boskiej Patronce Polski. Śpiew tej rusałki słyszał on już ongiś przed latami ze zamków orawskich, gdy walczył sam z sobą, by nie zdradzić narodu. Śpiew go wabi i wiedzie w cudną dolinę Kościeliską, gdzie znowu śpiewają mu rusałki Dunajcowe, wabiąc go dalej i dalej. Ta podróż po dolinie Kościeliskiej jest naprawdę przepiękną apoteozą piękna i uroku Tatr polskich, a pocie daje sposobność do dygresyj na różne tematy, związane z dziejami i kulturą Polski, a zwłaszcza ze starą kulturą Krakowa. Poeta powiada, że „wita go brama Kraszewskiego, cudo, które mógł wystawić tylko Ten, co cudami dzieł swoich do nas przemawia; brama godna wielkiego polskiego pisarza“.

Następuje opis malowniczy poszczególnych dziwów doliny Kościeliskiej. Skały, potok, pieczary, kominy, organy, stoły, zbójceckie okna i t. d., wszystko to ożywia poeta legendą, własnem uczuciem,

poezją. Skała Pisana przykuwa uwagę poety, a walący z pod niej potok dunajcowy wywołuje potężne porównanie tegoż do wody cudownie wyprowadzonej ze skały przez Mojżesza. Następuje opis pieczar w Kościeliskiej. Wszystko tu zachwyca Horislawa, wszędzie znajduje sposobność do pochwały Polski. Obraz Matki Boskiej na skale rozczula poetę i wywołuje taką strofkę na temat religijności narodu polskiego (II, 35):

Neznám t'a, ale si mi brat,
Bo ctiš najlaskavejšiu Mat';
Neznám t'a — ale to je isté,
Že hnutie sväté, zbožné, čisté
Z Poliaka pošlo citnej hrudi.
Ó, Matku Božiu zbožných l'udi,
Cti, l'ub Ju, přitúlaj sa k Nej,
Tak, jako cti Ju pol'ský l'ud...

Religijność Słowaka roztkliwia się nad religijnością ludu polskiego i wyrывa mu z serca modlitwę za Slovensko u stóp Boga-Rodzicy.

Krakowski żleb, skała Saturna i kocioł zbójcecki wywołują nowe zachwyty. Wstępu do Krakowa — przy żlebie krakowskim pilnuje piękna skała Saturna, którą poeta personifikuje w patetycznej apostrofie jako boga Saturna, czuwającego nad skarbami Krakowa. A oto owa apostrofa (II, 38):

Skała Saturna.

Saturna skało, pyszna straży
Przy Krakowskiego żlebu wchodzie,
Powiedźże, odkąd się oglądasz
Po cudnej wokół Tatr przyrodzie?
Saturnie, stróżu wichrotważy,
Twe oczy w dale — hen patrzące. —
Pięknej Pisanej strzegą Skały
Pod strażą twą ma Organy brzmiać.
Dunajca strzeżesz hucznych toków,
Kozic tatrzańskich śmiałych skoków;
Nad skarbów żlebu Krakowskiego
Dzierż czujne, wieczne straże, —
Wichry i burze pędz od niego,
Kiedy mu grożą Moce wraże.
Ochraniaj Tatr bajeczny świat,
W czas groźnych burz i groźnych lat!
Bądź stróżem tych tatrzańskich kras,
Ochraniaj Polskę — i chroń nas!

Poeta łączy więc alegorycznie Polskę z bratnią Słowaczną, bezpieczeństwo Tatr polskich z bezpieczeństwem Tatr słowackich. Córa Swobody wiedzie Horisława do Krakowa w Kościeliskiej i tu przy sposobności opisu tej partii doliny poeta opisuje prawdziwy Wawel, kościół Marjacki z ołtarzem Wita Stwosza, Sukiennice, Uniwersytet Jagielloński. O sztuce polskiej w Sukiennicach mówi z zachwytem (II, 42):

Sláva bud' na slavianskom mene!
Umelcov pol'ských krásny stán,
Na čele ich: Matejko Ján —!

Podobny zachwyt budzi rzeźba Lewandowskiego „Słowianin zrywający pęta“. Reminiscencje na temat grobów królewskich na Wawelu kończy poeta słowy (II, 43):

„Po krypcie trumny rozstawione,
W nich królów zwłoki pogrzebione.
Sobieski — Poniatowski — Adam —
Kościusko. Na kolana padam.
Pomarli króle i poeci,
Lecz żyje lud i polskie dzieci.“

Z głębokim szacunkiem wyraża się poeta o Uniwersytecie Jagiellońskim, którego wiedzę symbolizuje Mikołaj Kopernik. Napis nad katedrą 'Αει ὁ θεὸς γεωμετρει budzi refleksje Horisława na temat mądrości i wiary narodu polskiego (II, 44):

Učte sa, vy, veľ'mest' mudrci:
Nech viera tróni v ume v srdci,
Od Poliakov sa učte jej.“

Poeta wspomina nawet takie szczegóły, jak tablicę pamiątkową króla J. Sobieskiego na zewnętrznej ścianie kościoła Marjackiego. „On z krajov našich Turka hnal“ — powiada. Opis doliny Kościeliskiej kończy się romantyczną odpowiedzią Skały Saturna, że „pękła z żalu po rozbiorach Polski“.

Opis doliny Kościeliskiej, jedyny w swoim rodzaju artystyczny obraz jej uroku, interesuje również pięknem ożywieniem przyrody, skał, wód i próbą rzadko spotykaną nawet w naszej litera-

turze krajobrazowej wprowadzenia mitologii słowiańskiej — rodzimej do opisu przez zaludnienie i ożywienie fal Kościeliskiego potoku dunajcowego rusalkami, które nęcą juhaskę śpiewem do swej fali. Dla przykładu cytuję w przekładzie opis potoku Kościeliskiego (II, 311):

Kościeliski Potok.

Horisław przeszedł nad Strążyską
W czarowią ustroń Kościeliską.
Wita go mocna Saturn Skała,
Co nad Krakowem w straży stała —
I sławna wita go Pisana,
Cudną, Dunajca bramą zwaną,
Dunajec pędzi skałą w dal,
Szum jego echem wraca z hal.
Pieni się, szumi, rwie rozgłośnie,
Echo po skałach setne rośnie. —
Skłębionych fal potężny szum
Świat Tatr ożywia, baśni, dum,
Wieczny tu fal na fale skok,
Rwie się i huczy rozpustny tok.
Zielone głębie, spienione spady,
Piana bielutka, fal myriady
I huk i szum i łom i trzask,
Tu ciemna głębia, tam jasny blask,
Tu kryształowe, ciche fale
Odbijają skały, turnie, hale,
A tam aksamit znów na skale
Barwą się mieni, jak opale.
Fala za falą fale ciska,
A prąd spieniony rwie się, przyska.
Zwyczajski strumień targa skały,
Szumi potężny, wiecznotrwały.
Burzą się, — dławia, — walczą fale,
Odgłosy walki pędzą w dale.
A w czasie słodkich, nocnych chwil
Słychać z Dunajca śpiewy wil*).
Jak baśń czarowną, jak słodki zew,
Rusalek wodnych słychać śpiew.
A gdy się zaczną czarowne śpiewy,
Milkną na chwilę Dunajca gniewy.
Upłazy, — skały ciche stają,
Śpiewu rusalek wodnych słuchają.
„Pójdź juhasko, pójdź tu z dali,
Do nas, do Dunajca fali. —
Pójdź tu w pałac kryształowy,
Gdzie rusalka rybki łowi —
Przemilemu juhasowi.“

Chmury się kłębią — huczy grom!
W Dunajcu nowy huk i łom. —
I jak słowiańska, dumna dusza
Dunajec z szumem w drogę rusza.

*) Wile — wily, słowiańska nazwa rusalek wodnych.

Nie dba na skały, nie dba na skręt —
No — wrogu Słowian! — wstrzymaj ten pęd!

Dalszy ciąg poematu obejmuje całą mozaikę opisów Tatr Wysokich, legend tatrzańskich i t. d. Opis Tatr Wysokich zaczyna autor od srebrzystej ściany Giewontu, od którego zaczyna Horisław górny lot po szczytach tatrzańskich w towarzystwie Swobody na wozie złotym, zaprzężonym w skrzydlate konie. Przelatuje Fatrę, Rohacze, Wołowiec, Osobitę, Hruby, Krywań, Baszty, Garluch, Łomnicę, Wysoką Lodowy. W toku ich opisu czyni dygresję na temat innych dalekich ziem słowiańskich, Rosji, Ukrainy, Jugosławii. Jeziora tatrzańskie, prawie wszystkie, szczyty Tatr, do Hawrania i Murania opisuje poeta w przelocie. Jest tu też piękny fragment o Pieninach przy opisie widoku z Hawrania (II, 66):

Pieniny.

„A na wschodzie hen — Pieniny,
To kraj Góralów drużyny.*)
Czerwony tam Klasztor marzy
I o polskiej sławie gwarzy.
Tam Dunajca pęd skłębiony
Wita z szumem Trzy Korony.
Błyszczy śmigła Sokolica,
Witaj! woła ci Szczawnica.
Dunajec się wali, pieni —
Czarem jego zachwyceni
Przyjaciele wędrowali,
Gdzie Dunajec w skały wali.
Wędrowali jeden raz —
O gdzież ten uleciał czas?**)”.

*) Góralami nazywają Słowacy ludność polską Podhala polskiego i Polaków aż do Magury na Spiżu po stronie słowackiej. Prasa czeska wykorzystuje czasem tę nazwę politycznie, wmawiając w ludność polską pod Magurą, że mówi po „góralsku“ nie po polsku. Ludność czytuje „Gazetę Podhalańską“, redagowaną przez pośła Gwiżdza, pisaną częściowo polską gwarą podhalańską, uważając zupełnie słusznie tę gwarę za swój język. — Przyp. autora.

**) Z serdecznym uczuciem wspominam tutaj tych Słowaków, z którymi w roku 1929 odbyłem również podróż przez Pieniny od Czerwonego Klasztoru do Szczawnicy. Byli patryjotami słowackimi, lecz byli takimi przyjaciółmi Polski, jak rzadko! — Przypisek autora.

Dalsza wędrówka wiedzie Horisława poprzez polskie Tatry, Wołoszyn, Koszystą, Granaty, Zawrat, Stawy Gąsienicowe, Świnicę, Dolinę 5 stawów polskich znowu pod ścianę Giewontu. Opisuje siklawicę w dolinie Strążyskiej. Horisław ma tu widzenie przyszłej wolności swej Ojczyzny, którą mu ogłasza jego przewodniczka w słowach (II, 80):

Ja Slovenského rodu dcéra
A meno moje Sloboda;
Spatila teba tvoja viera,
Uvidíš slávu naroda.

Poeta wprowadza swego Horislava w krainę uśpionych rycerzy, w podziemia Tatr. Przedtem jednak zaczyna wędrówkę podziemną od salin wielickich. Jest to jedyny w swoim rodzaju opis poetycki tego cudu ziem polskich. Poeta opisuje ciemne krużganki kopalni, potężne komory, jezioro podziemne, kaplicę w słowach pełnych uczucia i czaru poezji. Bogactwo ziemi polskiej wyrzywa z serca Horisława modlitwą dziękczynną do Boga za cudy, którymi obsypał słowiańską ziemię polską (II, 89):

Ty skrył si cenné drahokamy,
Ty skrył si v slavskej zeme dol
Najdrahší kryštál: bielu sol’.

A oto wstęp do opisu kopalni (fragment, II, 86):

Wieliczka.

„Spuściłem się do ziemi głębi,
Tam, gdzie brat Polak kopie sól.

Zniosły mnie duchy tam podziemne,
Mkną jakby cienie w otchłań ziemi, —
I tak, jak ziemi głębie ciemne,
Są cisi — tajemniczy — niemi.
Baczność! już są — patrz! — wyteż słuch!
Daremnie patrzysz do góry, —
Już zniknął w émie podziemny duch,
Tu i tam płyną, — jak chmury.
Groza mnie przeszła i lęk i strach,
Tu w tych podziemnych, wiecznych émach.
W podziemnych duchów groźnem państwie
Stoję samotny, cichy, sam,
Jakiś czar ciągnie mnie nieodparcie
Do tajemniczych komór, — jam.

Wszystkiem góry przeszedł, wszystkie przewę-
drował,
Przyszedł do Morskiego i tam przenocował.

Ponad całością poematu góruje szczere
słowianofilstwo. Tu poeta jest namiętny
i tu znajduje silne słowa.

Oto fragment takiego słowiańskiego
epinikionu (I, 174):

Słowiańskie cieszyć się narody,
Swobody dzień dziś chwalmy,
Wskrzeszenia sławne sławmy gody,
Wolności ogień palmy.
Już spadły pęta — wolne już
Słowiańskich synów niwy,
Znikły niewolne łązy i ból,
Bóg był nam miłościwy.
Hurra! wybiła już godzina,
I wolna Słowian jest rodzina!

Patrz, jak się iskrzą nasze oczy,
Ze wolne zaczniemy dzieje,
Niewola ich już nie zamroczy,
Wolności sztandar wieje.
Cieszymy się starcy, dzieci, żony,
Pochodnie Sławy palmy,
Słowiański świat oswobodzony,
Więc cud Wolności chwalmy.
Hurra! wybiła już godzina —
I wolna Słowian jest rodzina.

Dla nas Polaków dzieło Kovalika „Báj
Tatier“ jest bardzo sympatyczne ze
względu na poruszane często opisy ziem
pogranicznych polskich, szczerą sympatię
i podziw dla polskiego narodu. Poeta,
mówiąc o Polakach, zawsze używa frazy
— Poliak-brat, — a mówi to serdecznie,
bo wiele, jak sam przyznaje, dała mu
kultura polska i nasz pęd do wolności.

Głęboka religijność poety, jak wogóle
Słowaków, każe mu widzieć w Polakach
najbliższych braci, pogranicze polsko-
słowackie i Tatry zbliżają nas również te-
rytorjalnie. Tatry nas łączą, nie dzielą,
nie dzieli nas też, lecz łączy Beskid. Poeta
przepięknie mówi o tym ostatnim w apo-
strofie następującej (I, 188, fragment):

Beskid.

„Na szczycie w duszy Horislawa
Nowa powstaje piękna zjawia.
Na zachód Piłska szczyt dwoisty,
A pod nim Beskid hen — lesisty.

Beskidzie, miły mój kamracie,
Poznajesz chłopca z dawnych lat,
Co się tylekroć przeszedł rad?
Dziecięcych czasów struny grają
I słodkie chwile wspominają, —
Ilekroć spojrzysz moje oko
W zielone szczyty twe — wysoko.
Junackich czasów słodkie chwile
Młodości słodysz sączy mile,
Beskidzie mój, pamiętasz je?
Mój duch jest pełen dziś ich echa,
Pełny jest lasów twoich toni,
I twoich szumów, twoich woni,
Wszak dobrze złote czasy znasz.
Pamiętasz, miły mój kamracie,
Jak z żalem spoglądałem na Cię,
Gdym w obcy jechał kraj
I żegnał mój rodzinny raj? —
Oj przeto patrz na cię rad!
Te chwile nigdy nie zaginą,
Beskidów szczyty — lasów szum —
Czarownych pełne bajek — dum —

Tak samo chyba odezwie się każdy
Polak z Cieszyńskiego do swego Beskidu,
kiedy wspomni swoje po nim tułaczki.
Widok na Cieszyńskie, gdzie łączą się zie-
mie polskie, czeskie i Słowaczyna, przy-
wodzi poecie na myśl ideał zgody wszyst-
kich Słowian (I, 191):

Nuż pozrime sa oko v oko,
Nech raduje sa dal'eko, široko
Slovenská, pol'ská, ruská zem,
I zem Vltavy, zem Moravy,
Zem Drávy, Driny i Marice,
Ved' všctké slávianske družice,
Ved' všctci rodnej slavskej vravy.

Ten idealizm słowianofilski, aktualny
w czasach niewoli Słowian w Europie, jest
i będzie zasadniczo aktualny zawsze, a
tem samym aktualnemi będą piękne filo-
słowiańskie myśli utworu dra Kovalika,
zwłaszcza tu dla nas na Cieszyńskim,
gdzie graniczą ze sobą trzy narody słow-
wiańskie, Polacy, Czesi i Słowacy, które
doczekały się spełnienia przepowiedni
słowackiego poety, iż przyjdzie czas, gdy

Žit budeme na svojom svoji
Pri zbožnej práci o pokoji.

Nadanie temu idealizmowi słowiano-
filskiemu praktycznej wartości życiowej
we wzajemnych stosunkach narodów i

państw słowiańskich dla utrzymania wspólnego, silnego frontu słowiańskiego powinno być serdecznem zadaniem wszystkich ludzi dobrej woli we wszystkich bez wyjątku państwach słowiańskich. Jest to wskazane ze względu na rozwój potęgi, rozkwit i znaczenie Słowian w Europie w myśl plemiennej zgody słowiańskiej, tak serdecznie propagowanej przez sympatycznego poetę słowackiego.

A jednak ten właśnie poeta słowacki, szczerzy słowianofil, kwestjonuje bardzo silnie i wyrzuca Czechom brak tej dobrej woli w stosunku do Słowaków, związanych państwowo z Czechami, aczkolwiek zasadniczo przeciwko Czechom nie występuje wrogo. Ileż dopiero na ten temat mogliby powiedzieć Polacy na Śląsku czeskim? Czy widzimy tam dobrą wolę w stosunku do nich ze strony czeskiej? Czy sentyment słowianofilski Czechów, którym lubią się często w swej prasie po-

sługiwać, jest szczerzy? Jeżeli tak, to w czym się ujawnia i gdzie? Na Słowaczynie mają przecież, jak widać ze słów senatora Kovalika, silne zastrzeżenia Słowacy, a na Śląsku jeszcze silniejsze Polacy. Tu i tam apel Kovalika do Czechów staje się z dnia na dzień coraz bardziej aktualny, o ile chodzi właśnie o tę dobrą wolę stosowania szczerzego sentymentu słowiańskiego w polityce ze strony czeskiej.

Nam Polakom tej dobrej woli nie brakuje i dlatego we wielkiej rodzinie Słowian w Europie nie jesteśmy odosobnieni. Stwierdza to również poeta słowacki, choćby przez swój serdeczny sentyment słowiański i braterski w stosunku do Polski i Polaków w swej godnej poznania „Baśni Tatrzańskiej“, epopei piękna Tatr, braterstwa Słowian wogóle, a braterstwa polsko-słowackiego w szczególności. — To ostatnie znajdzie zawsze w Polsce serdeczny i szczerzy odzew.

O. Franciszek Euzebjusz Stateczny.

Z wieży Liebicha.

Impresje z Wrocławia.

Dokończenie.

Serce Wrocławia, do którego biegnie ze wszystkich czterech boków ośm głównych prostych arteryj, rzuca się samo w oczy widza; albowiem rynek ów leży w środku miasta i zajmuje obszerną, czworograniastą przestrzeń równą. Całość sprawia estetycznie miłe wrażenie, dalekie wszelako od nie zrównanego i jedyne go w świecie wrażenia, jakie sprawia rynek krakowski z Sukiennicami. Rynek wrocławski byłby raczej do poznańskiego podobny z wyjątkiem nierówności gruntu w Poznaniu, za co poznański ratusz przenosi wrocławski co do sztuki.

Widz powita przede wszystkim staro-
żytny ratusz wrocławski, podnoszący się

pośpie nie na środku placu. Z końcem XIV wieku w stylu gotyckim wzniesiony wspiera się na potężnych kamiennych filarach tu i ówdzie rzeźbami zdobnych, a jego kadłub kończy się licznymi wieżyczkami, nad którymi góruje główna ośmiokrotnie toczona wieża zielona. Z jej wieńca o dwóch otworach brzmia w równych odstępach dzwony zegarowe, głosząc miastu i okolicy godziny, dnie, lata panowania germanizmu odgłosem jakby w nerwowem oczekiwaniu chwili, w której się dusza słowiańska tego kraju zbudzi i zerwie do lotu.

O ile kościół św. Elżbiety jest jednym z najznakomitszych objawów tego goty-

ku kościelnego, który się w swej odmianie zrodził na ugorach słowiańskich, o tyle ratusz wrocławski jest również jednym z najpiękniejszych dzieł tegoż gotyku w zakresie budownictwa świeckiego. (Lecz cóż z tego? Cóż nawet z tego, że na pierwszym piętrze ratusza jaśnieje sklepiona cudnie sala rycerska, w której się odprawiały ongi sejmy śląskie, mające bronić niezależności kraju, myśleć o jego dobrobycie, chwale! Istota znikła; albowiem kraj został zagarnięty, za rydwanem pruskim postępuje ze skrupowaniem rękami płacząca córka słowiańska: Staropolska!

Lecz jakież rumieńce wstydu wywołuje na lica Ślązaka, pamiętny, nieszczęsny, prawie ohydny rok 1741. Toż właśnie wtedy składało w tej sali duchowieństwo i rycerstwo śląskie na klęczkach przysięgę wierności w ręce króla pruskiego, siedzącego na tronie i patrzącego z pogardliwym uśmiechem w czapce na głowie na przysięgających, podczas gdy w czasie przysięgi innych stanów, które stojąc składały akt wierności, sam król Fryderyk II był powstał i czapkę z głowy zdjął. Gorzka zapewne przemiana wolności złotej na dyscyplinę pruską!

Z jakąż ulgą, że się ten akt upokorzenia skończył, musieli bez wątpienia ci przedstawiciele ludności śląskiej wstępować w chłodne i zaciszne sklepienia piwnicy, która się mieści pod całym ratuszem wrocławskim. Jak dawniej ta piwnica ratuszowa, którą od świdnickiego piwa tam wydzielanego przewzano piwnicą świdnicką, tak i dziś stanowi ciekawość miasta godną widzenia. Wzięcie atoli dzisiejsze piwnicy więcej się polegać zdaje na uroku archeologicznego zabytku, aniżeli na komforcie lokalu, który się wobec wymagań nowożytnych ostać nie może. Nawet w tej dziedzinie tak materialnej nie niema trwałego. Hauffowi się jego „Fantazje” lepiej pisały w piwnicy ratusza w Bremie przed Rolandem kamienym.)

Dziś odznacza się rynek wrocławski tylko tem, czem się odznaczają rynki wszystkich nowożytnych miast wielkich: wytwornemi i bogatemi sklepami przeróżnego gatunku, stąd handlem, przemysłem i używaniem wyrafinowanem; a po chodnikach przeciągają fale ludności z chciwością lub ze znudzeniem w oczach.

Dawniej się tam dokonywały dzieła dalekonośne. Był czas, w którym murami Wrocławia targano niehumanitarne wycie Tatarów, później Husytów, a jeszcze później północnych najeźdźców skandynawskich, nie pomnąc dziejowego łamania się ciągłego słowiańszczyzny z germanizmem, który wkońcu przemógł. Ale i inne głosy rozbrzmiewały: tedy bowiem ciągnął może apostołski orszak świętego Wojciecha na Smogorzew do Wielkopolski; tu z pewnością błogosławiła nędzy świętość Jadwigi i uśmierzała waśń plemienną i społeczną; tu na tym rynku rozlegał się potężnie głos bohaterskiego mnicha, św. Jana Kapistrana. I przepych rycerski tu musiał święcić swe najwyższe triumfy w gonitwach; skoro bok zachodni rynku nazywał się forum pompae praesidiarium.

Istotnie, rok 1454 zapisał w kronikach urządzony na cześć króla Władysława świetny turniej, na którym polscy rycerze odnieśli palmę zwycięstwa przeciw kwiatowi zachodniego rycerstwa. Krwi ludzkiej wtedy nie oszczędzano; tu bowiem w roku 1422 pokarał Zygmunt, cesarz, śmiercią okrutną Jana Krasę z Pragi, który nieustraszony wołał śmierć, aniżeli odwołanie błędnej nauki Hussa. (Tu również zaciekle i mściwie Fryc kazał poćwiartować i spalić w roku 1761 barona Warkocza i towarzyszy in effigie za to, że ci w Wojzelwicach blisko Strzelec najeżdżąc w ręce swojego Pana prawowitego wydać chcieli.) Tu w domie, nazwanym pod siedmiu kurfirsztami, jaśniejącym przepychem i malowidłami, हुआło od bankietów lub snuły się intrygi i wiązały nici dyplomatyczne, kiedy królowie

Czech i cesarze zjeżdżali na chwilowy pobyt do Wrocławia. Tu też, lecz po wschodnim boku rynku, w pałacu zdobnym w herby: polski, śląski i czeski, wypoczywali królowie polscy z domu saskiego, kiedy z Polski wracali obarczeni łupem do domowych pieleszy nad Łabą w Saksonji, ciągnęli na nieszczenie Polaki do syreniego grodu nad Wisłą. Dziś z tego wszystkiego pozostała tylko pamięć i kilka zabytków archeologicznych. Wszystko inne minęło jako sen. Samą rzeczywistością jest kilka pomników królów, generałów i uczonych (pruskich), wznoszących się hardo i zimno na rynku (dopóki nie przyjdzie mocniejszy, który ich obali i nie spadnie twardszy młot, który ich pokruszy).

W pobliżu synagogi trochę na zachód
tuż przy ogrodzie Eichhorna spostrzeże
widz z wieży Liebicha pewien wysmukły
gmach, którego przedsiónek w stylu joń-
skim wykonany mile uderza wzrok. Jest
to muzeum starożytnych zabytków ślą-
skich i sztuk pięknych. Dział zwłaszcza
archeologiczny i etnograficzny jest godny
zwiedzenia; albowiem obejmuje i czasy
przedhistoryczne, a z następnych czasów
zamyka przyrządy do wojny, przedmio-
ty przemysłu, obyczajów, narzędzia mu-
zyczne, dokumenta dyplomatyki i t. d.
Dział ten więcej wart zwiedzenia, że wnet
z dawnych obyczajów ludowych Śląska
nic nie zostanie przy życiu (lecz wszyst-
ko będzie gwałtem wtłoczone w mundur
pruski. Wtedy: żegnaj, poezjo ludowa!)

Śląsk przemieni się w burzę*) i bank pieniężny, które wyłączają nie tylko prawdziwą poezję ludową, ale nawet wszelkie porywy szlachetniejsze. Owszem, ta era już się rozpoczęła; gdyż oto ponad innymi gmachami Wrocławia podnoszą się hardo blisko promenady: nowa burza i bank cesarski, nie licząc kroci innych pomniejszych. Nawet teatr ponętny na ulicy świdnickiej nie potrafi zatrzeć tego

uczucia dręczącego, że płyniemy pełnemi żaglami po ołowianem morzu utylitaryzmu i bojkotu społecznego.

Nawet ów przybytek nauki, który się tam na krańcu miasta podnosi ponuro nad korytem Odry, nie zdaje się być wolnym od tego tchnienia lodowatego. (Czyż bowiem oprócz zadośćuczynienia wymaganiom powszechnym nauki uwzględniła uniwersytet wrocławski potrzeby ludności polskiej? A wszakże walna część jego słuchaczy składa się z synów ludu polskiego! Więc na to tylko zwinęto dawną szkołę wyższą Jezuicką czyli Leopoldzińską w Wrocławiu i wniesiono w nią uniwersytet z Frankfurtu nad Odrą, aby nowa wszechnica była wyłączni krzewicielką kultury pruskiej na zagładę całkowitą kultury polskiej! Tak, ten jedyny cel przyświecał królom i ministrom przy podnoszeniu tego przybytku nauki; wynika to z całego dotąd istnienia wszechnicy, a więcej jeszcze z drakońskich ukazów wydanych ostatnimi czasy, iż biada słuchaczowi pochodzenia słowiańskiego, który nie żywi w sobie ducha pruskiego pangermańskiego. Na zgłiszczach podbitego i ujarzmionego ludu polskiego wykłada profesor pruski z katedry rzecz o prawie międzynarodowym i humanitarnem! O ironjo losu!)

Stąd też poszło, że względnie w nowszych czasach z ludzi wybiegających ponad codzienną miarę ludzką nikt prawie na Śląsku nie przyczynił się do kultury polskiej. Zabór pruski i tchnienie niemieckiego uniwersytetu wrocławskiego i cała atmosfera unicestwiała wszelkie porwy polskich Ślązaków; brać bowiem w rachubę nie można polskich wydawnictw, dokonanych bądź co bądź świetnie w Wrocławiu, gdyż to raczej dziełem było drukarni i przedsięwzięciem przemysłowem Polaków, wygnanych z innych dzielnic polskich na korzyść wydawców niemieckich, aniżeli tworzeniem Ślązaków. Wszyscy Ślązacy wyżsi umy-

*) Giełda.

słom lub wyobraźnią pracowali na rzecz pruską i niemiecką w zakresie i nauki i sztuk pięknych i przemysłu i milita-ryzmu.

Poniekąd nie dziwiłoby to ze strony mężów urodzonych w swym Wrocławiu; boć miasto jest od wieków zgermanizowane. To też taki Krystjan Wolf, filozof, Krystjan Garve, również filozof i teolog, Schleiermacher i Tholuck, także filozofowie i teologowie, Lessing i Menzel, malarze, Kopisch, malarz, więcej jednak znany jako poeta, Velde i Häring powieściopisarze i wielu innych nic a nic z Polskimi nie mają do czynienia. Dobrze, że jeszcze na nią nie napadali jak Freytag!

(Owszem, w pierwszej połowie ubiegłego wieku wznicił bohaterski bój Polaków o niepodległość u niektórych śląskich poetów prawdziwy entuzjazm. Takim był urodzony we Wrocławiu) szlachetny mąż Karol Holtei, który się tem wsławił, że w literaturę niemiecką wprowadził nie bez powodzenia dialekt Śląska niemieckiego. Jego pieśń „Denkst du daran mein tapferer Lagienka“, będąca właśnie odgłosem powstania polskiego i przemienioną później na pieśń polską „Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę“*) śpiewano w swoim czasie, kiedy umysły po- trafiły jeszcze ocenić wysokie ideały narodo- we Polaków w całych Niemczech.

Tego samego pokoju, acz w mniejszym stylu, był Robert Rössler ze Strzeleckiego. Wędrowny Krystjan Günther ze Strzygawy, Fryderyk Gallet z Nysy, Józef Eichendorff z Łubowic pod Raciborzem, wszyscy trzej poeci, mniejszy posiadli wpływ i urok na swych ziomków. Z polską literaturą nie mają nic wspólnego, jakkolwiek się urodzili na Górnym Śląsku, zatem w kraju polskim. (Wyjątek tylko stanowili ks. Bontzek z Bytomia i ks. Damrot z Lublińca vulgo Czesław Lu-

biński, poeci polscy.) To samo należy powiedzieć o mdłych i słodkawych poetach Krystianie Hoffmann z Hoffmannswaldau i Danielu Kasper z Lohenstein w Brzeskiem — Andrzej Gryphius zaś i Marcin Opitz, twórcy tak zwanej pierwszej poetycznej szkoły śląskiej, kwitnęli jeszcze za państwa polskiego; lecz stosunków z Polską żadnych nie mieli oprócz chyba Marcina Opitza, który w Gdańsku jako historjograf utrzymywany był na koszt króla polskiego aż do śmierci*).

Wobec tego powszechnego i gwałtownego tchnienia niemieckiego, wsiąkającego we wszystkie tkanki organizmu śląskiego, czyż rzeczą nie jest zdumiewającą, że lud polski na Górnym Śląsku, a w części i na Średnim nie tylko wytrwał, ale trwa i rozwija się, nie przyjąwszy ni wiary ni mowy niemieckiej! I czyż zdumienie nas nie ogarnie i podziw, że nagle w ostatnich czasach ni stąd ni zowąd ów lud polski w najniższych warstwach społecznych sam poczyną się odradzać (i znajduje w sobie bohaterów, którzy mu z zaparciem się siebie niezwykle wśród tego morza niemczyzny przewodniczą i prowadzą go do samowiedzy jego narodowości polskiej!)

Od tych smutnych rozmyślań o rozpaczliwej walce o byt narodowy na Śląsku umysł i wzrok widza z wieży Liebicha zwróci się z pewną ulgą na wieniec plantacji, które pierścieniem zielonym otaczają cały Wrocław. Na południu kończą się owe plantacje wspaniałym ogrodem botanicznym, a na wschodzie wzdłuż prawego brzegu Odry jeszcze wspanialszym, olbrzymim ogrodem zoologicznym czyli zwierzyńcem, którego liczne i dobrane okazy państwa zwierzęcego i pełne smaku wykonane klatki i zabudowania dla zwierząt, ptaactwa i ryb, a wkońcu i umiejętne utrzymanie wszyst-

*) Pomyłka Statecznego. „Tysiąc Walecznych“ jest parafrazą pieśni Juljusza Mosena „Die letzten Zehn vom vierten Regiment“.

*) Niezupełnie ściśle. Zobacz wstęp Kazimierza Dobrowolskiego do „Listów J. Lompy do J. I. Kraszewskiego“.

kiego stanowią prawdziwą ozdobę miasta, a dla przejezdnych i zwiedzających nie-małą przynętę. Właściwe plantacje cią-gną się naokoło miasta starożytnego w miejsce dawnych obecnie zburzonych fortyfikacji. W tym względzie Wrocław nie różni się od Krakowa, z tą wszelako różnicą, że w Krakowie pozostawiono wśród plantacji starożytny mur obwo-dowy miasta jak w Rzymie, stąd widocz-niej powiązано dawne z nowszymi czasy, przeszłość z teraźniejszością, historję z ży-ciem. Są też plantacje Krakowa skrom-niejsze, stąd i milsze, jako miasto samo jest milsze i skromniejsze od Wrocławia (nie mówiąc już o szczytnych ideałach i szlachetnej duszy Krakowa, wobec któ-rych Wrocław jest jedynie zbiorowiskiem ludzi gnanych interesami materjalnemi, poziomemi, zwierzęcemi).

Tamteńdy, g dzie w Wroclawiu, daw-
niej ubzrojeni knehci od rzemiosła wo-
jennego tylko swąd pożarów i zapach
prochu strzelniczego w piersi wciągali,
tam teraz dziatwa i spokojni przechodnie
lubują się wionią kwiatów i drzew; a gdzie
dawniej tylko huk armat i muszkietów
grzmiał, powietrze dźwięczało od szują-
cych strzał, ranni jęczeli, tam się dzisiaj
na ławkach wśród cienia toczy rozmowa
towarzyska lub tu i ówdzie rozlegnie się
szepł miłosny wśród zapadającego wieczoro-
ru. Stąd plantacje tworzące to aleje ob-
szerne, równoległe, ocienione wysokiem
drzewami, to ogrody umiejętnie kwieciami,
klombami, chodnikami, kioskami, wodo-
tryskami i pomnikami ozdobione stano-
wią dla ludności tubylczej i przejezdnej
miejsce wytchnienia, schadzek, towarzy-
stwa, zapomnienia o troskach codzien-
nych, marzenia. Bo to tak ożywczo wcią-
gać w piersi w porannych godzinach
świeże powietrze ogrodowe; bo to tak
pięknie marzyć w godzinach popołudnio-
wych w ogrodach na ławce ustronnej,
kiedy nad głową się rozpościera nieprze-
bita opona liści, przez które blask słoń-
eczny przedcedza się w najprzyjemniej-

szych barwach i dzierzga na piasku koronkę utkaną ze światłocienia; bo to tak błogo i miło błądzić po mrocznych alejach, przepojonych światłem elektrycznym z przyjaciółmi lub przyjaciółkami po dokonanej pracy dziennej, błądzić i marzyć i szeptać o tajemnicach serca i życia wśród wieczornego pyłku kwiecia płodnego i słońca zamierającego.

Widz z wieży Liebicha, acz oddalony, sam duchem bierze udział w tych uctach i radości. Patrząc zgóry na tych błądzących przechodniów, to się zjawiających do znowu niknących wśród zieleni, lub śledząc niewymuszoną ochotę skaczącej dziatwy, usiłuje odgadnąć i zgłębić tę uczucia, które im w piersiach kołują. Nieraz i odgadnie tajemnice serc ludzkich, ale patrzy na tę sieć zagmatywaną, serc jak na widowisko w teatrze; a w końcu widząc zawsze jedno i to samo, da i temu spostrzeganiu spokój, bo każdy ma swej własnej tradycji wewnętrznej dosyć. A jeżeli wróci podpatrywać, to tylko dlatego, aby widokiem cudzej nędzy ulżyć własnej, która mu wewnątrz drze na strzępy.

Więc wodząc wzrokiem po zielonej koronie drzew spiętych, widz z wieży Liebicha spostrzega także wolne przestrzenie, wśród których przeblyskuje szklista tafla wody. Właśnie u stóp wieży Liebicha zobaczy widz obszerniejsze strugi płynące wody, ujętej w regularne koryta o brzegach murawą wysłanych. Jest to tak zwany rów miejski; w miejsce bowiem starożytnego rowu, tworzącego część nieodłączną z fortyfikacjami kaźdemi, płynie dzisiaj spokojnie woda rowu, którą z jednej strony żywi Odra w swym górnym biegu, a z drugiej przyjmuje Oława, zrzucająca się z nią razem trochę niżej do Odry.

Właśnie pod wieżą Liebicha woda rowu miejskiego rozacza się obszernie i majestatycznie. Na jej powierzchni wre tu życie hulaśliwe w postaci niezliczonej liczby ptactwa pływającego i brodzącego,

które tu swoje krzykliwe panowanie roz-
postarło dla uciechy własnej i zabawy
motłochu ulicznego. Tu i ówdzie widać
też w miejscach spokojniejszych i cienist-
szych pyszny rząd łabędzi, sunących jako
żywy symbol po śpiącej toni! I mimo-
woli przychodzi na pamięć ów cudny
wiersz:

Po wodzie blado-lazurowej,
Kędy się sennie nurt przetacza
Jak wiecznie jedna myśl tułacza,
Płynęły białe łabędzie...

Lato strząsało kwiat lipowy
Na biel ich skrzydeł sino-śnieżną —
Ciszą... tęsknotą wód bezbrzeżną
Płynęły białe łabędzie...

Wiecznie tę samą w wodzie linję
Złobiły ciała ich łyskliwe —
Bez ruchu skrzydeł, jak nieżywe
Płynęły białe łabędzie...

I jak ów wiersz płynie spokojnie, jak
cienie elizejskie błędzą beztroskie, a ma-
rzenie snuje się pogodnie i bez pamięci
czasu i przestrzeni, tak łabędzie płyną
spokojnie i pogodnie, jakby się w ich
polisku przeszłość i terażniejszość całow-
wały, a czas i przestrzeń zniknęły.

Oto bowiem, jak się snuje słowo rzeź-
bione w poezji:

Po wodzie blado-lazurowej,
Po sennie ciszy błędnych fal,
W melancholijnym, długim rzędzie,
Jak biały smutek Chrystusowy:
Niewypłakany nigdy żal —
Pływają białe łabędzie...

Słońce matowem złotem błyska;
Czasem lipowy spadnie puch,
Więznąc na fali miękkiej grzędzie.
Cicho — przez środek uroczyska
Niby wcielenie łez i skruch
Pływają białe łabędzie.

Wysoko wznosząc szyje gięte,
Z wzrokiem utkwionym w stromy brzeg,
Wciąż jednym kręgiem jak w oblędzie
Przez strugi nieme i zakłęte —
Ciągłe te same z wieku w wiek
Pływają białe łabędzie.

Ma nasz polski modernizm w poezji
coś tak pięknego i swojskiego w sobie, co

go zupełnie wyodrębnia od najnowszego
symbolizmu zagranicznego, że trudno się
oprzeć jego urokowi, jak trudno się oprzeć
urokowi tego wiersza, uderzającego na-
stępnie w jakieś przedistnienie w tych
oto cyzelowanych słowach:

...Oto znów biały zastęp płynie
Bez ruchu skrzydeł, wody bluzgu —
Zda mi się — jakby po mym mózgu
Płynęły białe łabędzie.

Ciche i białe... Nieskalanie,
Zawsze tą samą wąską linją,
Zaczarowaną w sen świątynią —
Płynęły białe łabędzie.

I nie wiem: Sen-li to czy trwanie?
Fala przypomnień o brzeg bije,
A z nią przepiękne wznosząc szyje,
Pływają białe łabędzie.

Bogusław Butrymowicz.

Ach nie sen to, nie! To rzeczywistość,
że Wrocław założony został przez Pola-
ków (i miał słusznie w koronie polskiej
tworzyć jedną z najpiękniejszych pereł).
Niestety, czas sprawił, że ta przeszłość
stała się snem (skoro ta droga perła od
korony odpadła. Czem Kraków był i jest
dla wschodniej Polski, tem miał być Wro-
cław dla Polski Zachodniej, której grani-
ce kreślił Szczerbcem Bolesław Chrobry
i Krzywousty.

Oby istniała w Wrocławiu lub przy-
najmniej okolicy nie trwania pomiędzy
dawnymi i nowymi laty! Niechby ten sam
czas sprawił i dzielna wola ludzka spra-
wiła, że przeszłość wróci i przemieni
Wrocław w to, czem miał być!

I dopieroż tę utratę posterunku przy-
pomnieć muszą widzowi z wieży Liebi-
cha łabędzie, pływające po wodzie rowu
miejskiego:

I nie wiem: Sen-li to czy trwanie?
Fala przypomnień o brzeg bije,
A z nią przepiękne wznosząc szyje,
Pływają białe łabędzie.

Hala Juraszków.

Jura wyszedł z chaty i zatrzymał się nad ścieżką, wijącą się ze skalistego brzegu stromo na dół do potoku.

Jura był starym górzalem wiślańskim. Nie znać po nim było, że liczył już lat ośmdziesiąt, bo trzymał się jeszcze krzepko. Jego bujne siwe, prawie białe włosy, okalając twarz wygoloną, inteligentną, spadały w długich puklach na kark i ramiona.

Podniósł głowę i zdawało się, że patrzy wysoko gdzieś, ku lewej stronie.

Czy podziwiał ten cudownie piękny krajobraz owej perełki Beskidów Zachodnich? Czy rozkoszował się widokiem tej czarującej dolinki pod źródłami Wisły, zwanej Halą Juraszków, otoczonej stromymi skłonami gór Baraniej i Cieńkowo, pokrytymi bujnym bukowym i świerkowym lasem, z pod którego kokietyrnie wychylała się chatka góralska, w sąsiedztwie willi, służącej za schronisko myśliwym podczas polowania na głuszce?

Może więcej go obchodziło, nad budynkami położone, małe uprawne pole i łąka zielona, albo niżej w głębokim cieniu płynący potok górski, śpieszący połączyć się z Białą Wisłoką.

Może zachwycił się niezwykłym, w tej chwili fantastycznym widokiem gry światła i cieni?

Niestety! Stary Jura z tego wszystkiego nie widział nic, gdyż był ociemniały od lat kilku. W pamięci tylko zachował ten obraz, na który patrzył przez siedemdziesiąt lat.

Dlaczego Jura obrócił głowę ku wschodowi, gdzie wysokie szczyty góry Baraniej zajaśniały w promieniach wieczornego jesiennego słońca?

Bo ze słabego blasku w zgasyłych źr-
nicach chciał odgadnąć, czy słoneczko
jeszcze świeci.

Staruszek wyciągnął rękę z kijem i domacując się ścieżki, powoli zeszedł na dół aż na drogę, ponad szumiącym potokiem Juraszków.

Skierował następnie kroki na prawo, trzymając się starannie prawej stromej drogi i dotykając kijem wystających skał i pojedynczych. Unikał zbliżenia się ku lewej stronie, bo wiedział, że tam grozi mu niebezpieczeństwo spadnięcia do głęboko pod obmurowaną drogą bez poręczy szumiącego potoku.

Tak doszedł Jura do miejsca, gdzie potok Juraszków wpada do Białej Wiselki i tam, przy rozstajnych drogach, tuż przed mostem, usiadł pod starym, na wpół spróchniałym bukiem. Nie widział przeciwległych stromych skał, prostopadle wznoszących się do ogromnej wysokości, uwieńczonych cienistym lasem, ale słyszał grzmot niedalekich wodospadów i łoskot rzucającej się przez głązy na dół Białej Wiselki.

Zadumał się staruszek.

Od czasu do czasu wydobywała mu się
 łza ze zgasłych oczu. Zapewne w ciągu
 długiej drogi życia znalazł nie mało cier-
 ni, ale góral nie płakałby, gdyby nie do-
 znał nadzwyczajnego smutku.

Dziś bowiem była rocznica wielkiego jego nieszczęścia. Przed dwunastu laty stracił jedyne pozostałe mu na starość dziecko, córkę ukochaną. Haniok*) była urodziwą, hożą dziewczuchą, z jasno-blond włosami, uplecionymi w bujny warkocz, z ciemno-szafirowymi oczami, z miłością spoglądającemi na ukochanego ojczulka, z ustami, na których igrał uśmiech wesoły. Pielęgnowała staruszka, jak ongi nieboszczka matka, i rozweselała go śpiewem.

Ach, jak ona ładnie śpiewała!

*) Właściwość mowy Wiślan, znaczy: Hanuś.

Ale cóż, poznała i pokochała Pawełka z pod „Czornego“.

Weselisko miało się odbyć na Święty Michał. Haniok była szczęśliwą.

Ale niestety! Pawełka powołali do wojska i zapędzili do Bośni.

Haniok codzień wieczorem siadywała pod starym bukiem, gdzie żegnała się z Pawelkiem i tam oczekiwała jego powrotu. Śpiewała, ale tak załóżnie, że krążyło się od tego serce starego.

Pawełek nie wrócił.

Poległ w wojnie z Bośniakami .

Gdy wieść o tem doszła do Hali Juraszków, ogarnął wszystkich smutek wielki; a Haniok z rozpaczy straciła zmysły.

Wybiegła z chaty, rzuciła się na ziemię pod starym bukiem i leżała długo, jakby martwa, a gdy stary Jura przyszedł, aby ją podnieść, zerwała się i w szalonym pędzie, przebiegłszy most, znikła w gęstwinie, tam nad wodospadami.

Szukano jej do późnej nocy, ale na-próżno. Nad ranem drwale przynieśli na Halę Juraszków okropną nowinę, że w fałach dzikiej Wisłki, pod skałą, na-przeciwko starego buku, Haniok leży z roztrzaskaną głową, w podartem ubraniu.

Pochowali ją, a stary Jura ociemniał.

Odtąd co dzień przychodzi płakać pod starym bukiem, a gdy chłopiec nowego gazdy na Hali Juraszków późno wieczorem zbliża się, aby go odprowadzić do domu, Jura mawia:

— Cicho — nie przerywaj — Haniok śpiewa!

— Ależ to woda tak huczy — chodźcie do chałupy.

— Jeszcze nie — aż Haniok skończy śpiewać!

Warszawa (1893).

Z dziejów Śląska.

W myśl zapowiedzi, umieszczonej w poprzednim zeszycie „Zarania“, podaję poniżej wyniki badań uczonych polskich, zawarte w „Historji Śląska“, wydanej przez Polską Akademię Umiej.

Franciszek Popiołek.

Nazwa Śląska i jej zasięg terytorjalny*).

Utarło się powszechnie mniemanie, że nazwa Ślązaków i Śląska pochodzi od Silingów, że to jest spolszczona nazwa germańskiego plemienia, które w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej zamieszkiwało Śląsk, zanim razem z pokrewnymi Wandalami nie wywędrowało na półwysep pirenejski, gdzie uległo wyćpieniu. Tezę tę, odpowiadającą politycz-

kórych pierwotnymi mieszkańcami Ślą-
nym zapatrywaniom niemieckim, według
ska byli Germanowie, postawił w r. 1830
nauczyciel śląski Ign. Imsieg, poparli ją
wybitni uczeni czeszy Szafarzyk, Palac-
ký, Niederle, wskutek czego znalazła ona
ogólną aprobatę w świecie naukowym.
Przyjęli ją także naogół językoznawcy
polscy, z wyjątkiem Jana Samuela Bandt-
kego, który tę nazwę wywodzi od rzecz-
ki Słęzy, lewobrzeżnego dopływu Odry,
uchodzącego do niej pod Wrocławiem, na-
zwanej przez Niemców Lohe.

Za tym poglądem oświadcza się prof. Semkowicz, stwierdzając na podstawie lingwistycznej i topograficznej, że „teza niemiecka o pochodzeniu nazwy Ślążan i Śląska od germańskich Silingów jest co najmniej wątpliwa, a cały szereg wskazówek przemawia raczej za odwrotnym

*) Wł. Semkowicz: Historyczno-geograficzne podstawy Śląska (1—71) i Taszycki St.: Język polski na Śląsku w wiekach średnich (72—88).

do początku XIV w. W tym czasie pojawiają się tam dążności zjednoczenia się ponownego ze Śląskiem, co się dokonało w ciągu wieku XV i XVI (str. 44—46).

Na południu granice Śląska przechodziły znacznie poza główny dział Beskidu zachodniego, według regulacji z r. 1417 szły wzdłuż rzeki Predmir, dopływu Kisuczy, potem lewym brzegiem Kisuczy, następnie wzdłuż rz. Czacy aż do W. Raczy, ale w niezamieszkaną jeszcze długo, pokrytej gęstym lasem okolicy, nie dały się stale określić. Gdy na polanach wśród lasów i wyrębiskach zaczęły powstawać osady, mieszkańcy ich, — po obu stronach Beskidu polskiego pochodzenia, choć na południe od Beskidu nazywani od sąsiadów Słowakami, — spowodowali spór graniczny między Śląskiem a Węgrami, w którym ze strony węgierskiej chciano za granicę uważać grzbiet Beskidu, tworzący dział wodny między Odrą a Dunajem, pochodzący zatem aż w pobliże Jabłonkowa, ze strony śląskiej zaś żądano granicy hydrograficznej (str. 51), ale jej nie zdołano utrzymać. Spór ciągnął się przez parę wieków i zakończył się dopiero w początku w. XIX ustanowieniem granicy prowizorycznej, przepełniającą teren sporny, nie biegnącą zatem ani grzbietem górskim, ani wzdłuż rzek, która odtąd pozostała na stale.*)

Granica wschodnia Śląska Opolskiego była przede wszystkim etnograficzna, oddzielała dialekt śląski od małopolskiego, a zarazem kościelna — między diecezją wrocławską i krakowską. Stanowiła ona „wschodnią ścianę kasztelanii cieszyńskiej od strony sąsiedniej kasztelanii oświęcimskiej, która pierwotnie należała do ziemi

*) Sprawę tę przedstawiam trochę inaczej niż prof. Semkowicz, według którego „granica południowa uosadowiła się trwale na paśmie Beskidu Zachodniego i woddział po wielu wiekach zrobił swoje“, a to na podstawie materiałów archiwum ministerstwa spraw wewn. w Wiedniu, archiwum zamkowego w Cieszynie i akt starostwa cieszy.

krakowskiej, a ze Śląskiem weszła w związek polityczny dopiero w końcu XII w.". I tu były również przesunięcia: Raz, za Bolesława Wstydlwego sięgała granica nawet w pobliże Tyńca pod Krakowem; należały do Opolszczyzny przez pewien czas kasztelanie oświęcimski, siewierski i chrzanowski, poczem ustaliła się granica naogół na dziale wód między Odrą i Wisłą, „który był także granicą między Ślążanami a Krakowianami" (str. 53).

Rolę dziejową, jaką Śląsk odegrał już w czasach przedhistorycznych, potem w dobie rzymskiej i przez całe średniowiecze aż do czasów nowożytnych, zawdzięczał swemu położeniu geograficznemu u wrót Bramy Morawskiej, na linii przewężenia europejskiego, biegnącego od Bałtyku do Adriatyku, na drodze, którą zmierzali na północ kupcy, szukający bursztynu. „Dzięki temu położeniu był Śląsk już w epokach przeddziejowych krainą przechodnią dla ludów, wędrujących w kierunku południowym przez barjerę górską, otaczającą go od południa w postaci łańcuchów górskich, ciągnących przez Europę z zachodu na wschód, obronną już z natury, zwłaszcza że pokrywała ją wtedy nieprzebyta puszcza leśna, ale poprzerywaną w kilku miejscach przełęczami i przedewszystkiem szeroką Bramą Morawską oraz w kierunku równoleżnikowym, gdzie tylko rzeki mogły stanowić pewną przeszkodę w przesuwaniu się ludów. „Czasy przedhistoryczne należały niejednokrotnie być świadkami takich masowych wędrówek. Stąd taka złożoność i taka różnorodność kultur przedhistorycznych na Śląsku, stąd krzyżowanie się tu wpływów różnorodnych, stąd ślady ludów południowych i północnych, wschodnich i zachodnich: Celtów, Germanów i Słowian, stąd usianie Śląska monetami, rozsypywaniami przez kupców rzymskich, arabskich i innych.

Zawierucha dziejowa, jaka nawiedziła Europę w pierwszych wiekach ery Chry-

poczywaj. Zdanie to znajduje się w t. zw. Księdze Henrykowskiej, opisującej w języku łacińskim historję klasztoru cysterskiego w Henrykowie pod Wrocławiem, zredagowanej w siódmym dziesiątku lat w. XIII.

Stwierdza dalej, że o ile chodzi o źródła do dziejów polskiego języka, „inne części Polski w niczem nie górują nad Śląskiem. Zerwanie łączności politycznej z Polską nie przyczyniło się tu oczywiście do rozwoju piśmiennictwa polskiego, które tymczasem gdzie indziej otrzymało z siebie łacińskie więzy i wspaniałom zakwitło kwiatem. Nie znaczy to wcale, by Śląsk nie zaznaczył i później najściślejszego związku z polską kulturą. Nie zapominałmy, że na Śląsku (w Kłódku) stała kolebka tak znakomitego zabytku naszej przeszłości językowej, jakim jest Psalterz Florjański, że wreszcie z Śląska pochodzą pierwsze próby drukarstwa polskiego, na które się składają modlitwy: Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę, wytłoczone we Wrocławiu w r. 1475 w Statutach synodalnych biskupa wrocławskiego Konrada. Z biegiem wieków słaby objawy polskiego życia kulturalnego na Śląsku. Nie gasy jednak nigdy. Dadzą się bez trudu wykazać w każdym stuleciu“ (str. 87—88).

Śląsk częścią składową Polski*).

Śląsk należał do państwa polskiego już w samym zaraniu jego dziejów, t. j. w drugiej połowie panowania Mieszka I. „a proces jego zrastania się z resztą Polski był w tym najwcześniejszym momencie tem znamienny, że dokonywało się ono już w ostrej walce Polski z Czechami, których zabiegi o pozyskanie tej ziemi dla siebie wycisnęły trwałe piętno na dalszych dziejach Śląska. W wiekowych walkach, które Polska toczyła z rzymskim cesarstwem narodu niemieckiego w obro-

nie swego bytu i niepodległości, przypadała Śląskowi chlubna rola przedmurza obronnego całej Polski. W pełnych chwały bojach Bolesława Chrobrego, toczonych w ogromnej mierze na terenie śląskiej ziemi, zasługuje na szczególną uwagę obrona śląskiego grodu Niemcyz, oblężonego w r. 1017 przez niezliczone zastępy Niemców, Czechów i pogańskich Lutyków pod wodzą cesarza Henryka II. Współczesny niemiecki, naogół niechętnie dla Polski usposobiony kronikarz, szczerzy wyraża podziw dla walecznych obrońców Niemczy, oświadczając, że nigdy „nie słyszał o nikim, kto by się kiedykolwiek potrafił bronić z podobną wytrwałością i umiejętnością“. Bohaterscy Słężanie, wystawiwszy z murów swego grodu krzyż jako godło, pod którym wierzą w zwycięstwo, odparli straszliwe, kolejno powtarzające się ataki Niemców, Czechów i Lutyków, pałac ich maszyny oblężnicze i stwierdzając swoją niezłomną wierność dla Polski i jej króla“ (str. 157).

To samo było w r. 1109, gdy cesarz Henryk V niby w obronie syna Władysława Hermana Zbigniewa wyruszył na podbój Polski, gdy zatem chodziło znowu o obronę niepodległości Polski. „Ofiarą najazdu padł wówczas Śląsk, ale też rozbił się on w tym ciężkim momencie próby najszczytniejszym bohaterstwem swej ludności. Najpierw przykre zdumienie wywołał w cesarzu imponujący wygląd grodu w Bytomiu nad Odrą, znakomicie obwarowanego do obrony; a gdy w harcowniczych walkach odnieśli rycerze śląscy zwycięstwo nad lepiej uzbrojonymi Niemcami, uznał Henryk V za niemożliwe zdobycie tej twierdzy i wymijając ją, ruszył na Głogów.“ O dzielną obronę tegoż rozbiła się furja wielokroć ponawianych ataków niemiecko-czeskich, pierśmi swemi zasłonili Głogowianie resztę Polski, bo cesarz, straciwszy nadzieję zdobycia twierdzy, gdy także szturm na Wrocław się nie powiódł, nękaną podjazdami Bolesława Krzywoustego, w któ-

*) R. Grodecki, *Dzieje polityczne Śląska do roku 1290.*

możliwości ciążenia ku obcym ośrodkom kulturalnym i politycznym i zatruty poczucia łączności z dotychczasową kulturalno-polityczną rodzimą całością. Te możliwości złowrogie miały — niestety — ziścić się w wiek później ku niepowetowanej stracie narodu i państwowości polskiej i w tem właśnie tkwi szczególnie znaczenie faktów z r. 1202, że one dla tej ewolucji stworzyły dogodny punkt wyjścia“ (str. 183—4).

Próby książąt śląskich zjednoczenia Polski.
Henrykowie Brodaty i Pobożny.

Do dalszego osłabienia łączności z Polską przyczyniła się wybitnie kolonizacja niemiecka i związki rodzinne książąt z obcymi. Że jednak ta łączność nie ustała, o tem świadczą próby przywrócenia królestwa polskiego, podejmowane właśnie przez książąt śląskich. Pierwszym, który rozpoczął starania w tym kierunku, był książę wrocławski Henryk Brodaty, ożeniony z księżniczką niemiecką Jadwigą. Zaczął od zbierania ziem polskich w swoich rękach, a gdy drogą orężną, a więcej jeszcze dyplomatycznych układów rozszerzył tak swoje posiadłości na Śląsku i poza Śląskiem w innych ziemiach polskich, że stał się najpotężniejszym z książąt śląskich, powziął plan opanowania Krakowa, uzyskania stanowiska seniora w Polsce i wreszcie koronowania się na króla. Etapami w tej jego działalności było najpierw odzyskanie ziemi lubuskiej, utraconej przez poprzedników i nabycie marchii łużyckiej, przez co przesunął granice swego państwa znacznie na zachód. Potem (1230), otrzymawszy po śmierci Kazimierza opolskiego opiekę nad jego dziećmi, obejmuje rządy nad tem księstwem. Na mocy testamentu Władysława Łaskonogiego otrzymuje w dziedziczne posiadanie Wielkopolskę. Łaskonogi przełał na Henryka również swe prawa do rządów w Krakowie i Sandomierzu, które

tenże obął i sprawował jako opiekun Bolesława Wstydliwego. W r. 1230 tytułuje się Henryk księciem Śląska, Polski (czyli Wielkopolski) i Krakowa, choć tych terytoriów poza Śląskiem jeszcze w tym czasie nie posiadał. Aby wzmocnić swoje prawa do Krakowa, wysunął Henryk ponownie porzuconą już zasadę senioratu. Na tej podstawie też przyszedł w dożywotnie posiadanie Krakowa.

Stworzenie potęgi terytorjalnej, obejmującej Śląsk z Lubuszem, ziemią krakowską i przeważną część Wielkopolski oraz zwierzchnią władzę nad dzielnicą opolską i sandomierską, nasunęło Henrykowi Brodatemu dalej sięgającą i górnijszą ideę polityczną, mianowicie odnowienie, t. j. ponowne zdobycie dla Polski godności królewskiej. Nie była to osoba sta jego ambicja, bo w planie swym dostojeństwo to wyznaczał swemu umiłowanemu synowi Henrykowi Pobożnemu, którego już przedtem zrobił swoim pomocnikiem w rządach, wskutek czego tenże z woli ojca przybrał tytuł księcia Śląska i Wielkopolski, co jednak nie było równoznacznem z podziałem państwa na części.

„Nowością w staraniach o koronę i w całej koncepcji politycznej Henryka była myśl oparcia zabiegów nie o papiestwo, lecz o cesarstwo. W stosunku do wszystkich urzeczywistnionych koronacji królewskich okresu Bolesławowskiego było to odchylenie od przyświecającej im intencji uzależnienia się od świeckiej potęgi „cesarstwa rzymskiego“, która w konkretnych warunkach oznaczała dla Polski potęgę Niemiec i zależność od Niemiec. Odstępstwo to daje się zrozumieć na tle sytuacji w r. 1237-8, w której powstał plan koronacyjny.“ Do papieża, który był w owym czasie rozdawcą koron, nie mógł się zwrócić w tej sprawie, ponieważ był poróżniony z nim z powodu procesu z biskupem wrocławskim i arcybiskupem gnieźnieńskim, wobec których bronił swych praw suwerennych.

ra, gdyby w czemkolwiek tych warunków nie dotrzymał — czyli poddał się tem samem pod kuratelę króla Czech (1270). Miał wtedy lat 12. Zobowiązanie kierowania się we wszystkich sprawach radą i życzeniami Ottokara ponowił jeszcze po 3 latach.

Po śmierci Ottokara węzeł osobisty, jaki Henryka łączył nie z królestwem czeskim, lecz tylko z Ottokarem jako wujem, opiekunem i politycznym patronem, zerwał się. Natomiast związał się Henryk IV ze zwycięskim tegoż przeciwnikiem cesarzem Rudolfem, który go już przedtem podczas przygotowań do wojny z Ottokarem świetnymi obietnicami starał się przeciągnąć na swoją stronę. „Wspomnienia wspaniałego i lśniącego wyższą kulturą dworu królewskiego Ottokara, na którym Henryk spędził kilka lat, zapoznanie się z bliską z charakterem stosunku lennego Czech do cesarstwa, który w praktyce życia ani nie ciążył zbyt, ani nie krępował, a rokował pomoc i poparcie w różnych sprawach politycznych na warunkach wzajemności, to wszystko roznieciło i rozdmuchało w Henryku IV ambicję królewskości. Trzeźwe wyrachowanie, oparte na stwierdzonym naocznie sukcesie Rudolfa wobec Czech, uwydatniającym jego potęgę i znaczenie, przywiodło go do decyzji, którą wypada ocenić ujemnie z punktu widzenia idei absolutnej niezależności politycznej władców Polski od cesarstwa rzymskiego, czyli od Niemiec, lecz która bezpośrednio otwierała widoki znacznych korzyści. Kto wie, czy nie zachodziło tu świadome nawiązanie do tradycji Henryka Brodatego? Mianowicie chodziło tu o związanie się z cesarstwem przez zadzierżgnięcie wasalskiego stosunku przez Henryka IV wobec Rudolfa. Akt ten miał być środkiem do osiągnięcia dalszego i wyższego celu, t. j. królewskiej korony. Z punktu widzenia tego też wyższego celu politycznego sądzić należy wybór takiej drogi“ (str. 283).

Równocześnie z Henrykiem IV uznał się lennikiem Rudolfa także jego teść Władysław opolski. „Z nim zawarł Henryk sojusz w ten sposób, że za obietnicę ukoronowania wraz z sobą także swej żony, córki ks. opolskiego, otrzymał od niego przyrzeczenie jak najdalej idącej pomocy do uzyskania i zdobycia królestwa i korony w Polsce“ (str. 285—6).

„Henryk był w tym czasie najpotężniejszym księciem z całej linii Władysława (syna Bol. Krz.), a jego wrocławska dzielnica była największa i najbogatsza i posiadała centralny gród stołeczny ojców i dziadów. Wyraźne w różnych sprawach liczenie się z nim takich potęg zewnętrznych, jak papiestwo i wytrwałe zabiegi o jego przyjaźń i pomoc najpierw Ottokara, potem Rudolfa i wdowy po Ottokarze, podnosiły go tak we własnem mniemaniu o sobie, jak nie mniej i w oczach drobnych książątek śląskich, z których żaden nie mógł się z Henrykiem IV równać znaczeniem i potęgą. Z drugiej strony ich słabość ośmielała Henryka do usiłowań narzucenia im swej woli i podporządkowania ich sobie pod względem politycznym“ (str. 288). Układami, nie kiedy wymuszonymi, zapewnił sobie pomoc zbrojną kilku książąt śląskich i przygotowywał grunt pod przyszłą akcję, „zamierzaniem bowiem Henryka IV była restytucja królewskiej godności o charakterze uniwersalnym polskim, godności, uznawanej przez rzeszę polskich książąt grupujących się koło króla jako najdosłojniejszego z pośród siebie. Jak sobie wyobrażał tę podległość i podporządkowanie książąt królowi, widać choć w zarysie z tych faktów historycznych, które tworzył z bezwzględną konsekwencją: dobrowolne i wymuszone układy sojuszowe, poręczające mu ogólnie lub szczególnie wojskową pomoc książąt dla celów jego polityki zagranicznej, nawet zaczepnej, gdy sam ze swej strony poręczał tylko pomoc do walki obronnej.

krakowsko-sandomierskim, Przemysłem II wielkopolskim i Henrykiem głogowskim, na podstawie wzajemnego dziedziczenia ziem przez nich posiadanych, przyczem „za punkt stały we wszystkich możliwych kombinacjach przyjęto dzielnicę krakowską, która kolejno miała przypadać skoalizowanym w razie bezdzietnej śmierci poprzednika; z biegiem czasu miało to doprowadzić do skomasowania znacznej części ziem polskich pod władzą jednego władcy“ (1287, str. 315).

Na mocy układu z Leszkiem Czynym Henryk IV przybrał tytuł księcia Krakowa i Sandomierza, a po śmierci tegoż w walce ze współzawodnikiem Łokietkiem opanował Kraków (1289). Gdy z pretensjami do Krakowa zgłosił się równocześnie król czeski Wacław II i zaczął sobie szukać sprzymierzeńców wśród książąt śląskich, a jeden z nich, Kazimierz bytomski, złożył mu hołd lenny, Henryk IV „wobec takich złowrogich oznak sił odśrodkowych, przeciwnych powziętej przez niego w porozumieniu z koalicją z r. 1287 idei zjednoczenia państwowego Polski, mógł uważać moment za odpowiedni, mógł nagleżać, by rozpocząć właściwe zabiegi, dla których zajęcie Krakowa stanowiło warunek wstępny: mianowicie zabiegi koronacyjne. Starania swe o koronę królewską skierował do Rzymu i w tem ujawniła się ta zasadnicza zmiana orientacji politycznej, dokonana w aspiracjach Henryka pod wpływem współdziałania z obozem politycznym narodowo czujących książąt.

Wysłane do Rzymu poselstwo miało czynić starania u papieża o przyznanie Henrykowi IV prawa „noszenia berła i korony w Krakowie i używanie tytułu króla“. Zamierzone przez niego królestwo miało charakter uniwersalny mimo narazie szczupłych ram terytorjalnych, a ośrodkiem tego królestwa miał być Kraków jako gród, z którym łączyła się najświeższa tradycja zwierzchniej nad całą

Polską władzy i gdzie były złożone insygnia dawnych królów Polski. To zwrócenie się do papieża z petycją o koronę królewską było faktycznem odwołaniem hołdu lennego na rzecz Rudolfa Habsburga i cesarstwa i powroćeniem do tradycji królestwa Bolesławów. Jest to szczytowy punkt w działalności politycznej Henryka IV: oznacza on ideowo-polityczne przodowanie Śląska, uosobionego przez najznacznieszego z jego książąt, całej Polsce. Prawnuk Henryka Brodatego wskrzesił jego program polityczny i wiążąc ponownie Śląsk z sercem Polski, Krakowem i z jej wielkopolską kolebką, zadokumentował polskie poczucie i aspiracje tej dzielnicy, wystawione na najsilniejsze kulturalne i polityczne wpływy Niemiec.

Wysłany w tak doniosłej misji do Rzymu poseł Henryka IV z zadania mu powierzonego nie wywiązał się, a sprzeniewierzwszy oddane mu w zaufaniu znaczne sumy, z obawy przed surową odpowiedzialnością, użył swego brata, będącego medykiem nadwornym księcia, do podsunięcia temuż trucizny. W młodym wieku, zaledwie rozwinąwszy skrzydła do górnego lotu, do którego porywała go i ambicja i niezwykle zdolności, umierał Henryk wśród niespełnionych zamierzeń i nieziszczonych pragnień. Ale idee, dla której go zjednano, pozostał wierny i testamentem swym, pisany przytomnie, choć tuż w obliczu śmierci, starał się zapewnić jej spełnienie przez swych sojuszników. Krakowską ziemię przekazywał księciu Wielkopolski, dziedzicowi desygnowanemu Pomorza, Przemysłowi II, na którego kolejno przechodził obowiązek odnowienia królestwa. Wiernemu Głogowczykowi, który w dalszej przyszłości miał być dziedzicem Przemysła II, narazie wyznaczał następstwo w księstwie wrocławskim. Zrobił wszystko, co leżało w mocy ludzkiej, by przekreślić błędy polityczne wcześniejszej swej działalności, a Śląsk jako część Polski

utrzymać nadal w organicznym i wyłącznym z nią związku" (str. 321—3).

Przemysł wielkopolski istotnie wskrzesił królestwo polskie, lecz bez Krakowa, który zajął Wacław. Zjednoczenia Polski i wskrzeszenia trwałego królestwa dokonał dopiero Władysław Łokietek, ale do tej zjednoczonej Polski już Śląsk nie należał.

Poczucie narodowości księząt wrocławskich.

Historycy niemieccy twierdzą, że obaj Henrykowie, którzy podnieśli hasło zjednoczenia państwa polskiego, tak Brodaty jak i Henryk IV, byli Niemcami, a Henryka IV nazywają niemieckim poetą miłości (Minnesänger). Twierdzenia te prostuje prof. Grodecki: „Obiektywność badawcza nakazuje stwierdzić, że podwaliny pod późniejsze zniemczenie Śląska z jego groźnemi dla polskości kraju skutkami politycznemi położył w znacznej mierze Henryk Brodaty swoją gorliwą działalnością kolonizacyjną, prowadzoną pośrednio przez usilne popieranie jej w dobrach rycerskich i duchownych, a bezpośrednio przez siebie w olbrzymich domenach państwowo-książęcych; czynił to wszakże wyłącznie pod hasłem gospodarczego podniesienia kraju, nie zdając sobie — w tym okresie uśpionej jeszcze naogół w Polsce świadomości narodowej — zupełnie sprawy z niebezpieczeństw, na które naraża tą akcją polskość swjej ojczyzny. To też jest fałszem historycznym i niesprawiedliwością, jeśli się temu księciu przypisuje świadomą dążność do germanizacji Śląska i jeśli się go samego uważa za niemieckiego księcia, jak to od wielu dziesiątek lat czyni historjografja niemiecka. Tak rodzinne i potoczne życie Henryka Brodatego i jego dworu, jak i całą jego działalność państwową przenikał bowiem w całej rozciągłości duch polski i przywiązanie do polszczyzny w mowie i obyczaju. Silne piętno na tej działalności wycisnęło w każdej jej fazie nieznan-

wahnień poczucie najściślejszej uczuciowej i ideowej łączności z całą Polską, górujące u Henryka Brodatego nad jego ambicją osobistą i sentymentami rodzinnymi" (str. 191).

Także żona jego Jadwiga, z pochodzenia niemiecka księżniczka, „przybywszy na Śląsk jako 12-letnia dziewczyna, uległa tu spolszczeniu w ciągu kilkunastu lat styczości z ludnością polską, u której zostawiła świetlaną pamięć osobliwej opiekuńki i patronki. W tym też duchu wystylizowano prośbę do papieża o kanonizację jej, a papież uznał za stosowne w bulli kanonizacyjnej delikatnie wyjaśnić, że św. Jadwiga, zmarła i pochowana w Polsce, będzie wprawdzie patronką Polaków, ale nie w tym stopniu, by modlitwy wiernych innej narodowości do niej zanoszone miały zostać bezskuteczne“ (str. 312).

O Henryku IV zaś pisze prof. Grodecki: „Pod wpływem kilkoletniego pobytu na świetnym dworze Ottokara i częstych podróży do innych krajów i władców, nabrał Henryk IV zamiłowania do wytworności rycerskich obyczajów wedle modły zachodniej, urządzał wspaniałe turnieje, lgnął do wyższej kultury duchowej; wykształcony miłośnik ksiąg, rozczytywał się w Krakowie w legendzie o św. Stanisławie, której gorące w swym patriotyzmie ustępy o sławie dawnego królestwa polskiego zagrzały go do starań o odnowienie straconych przez naród polski splendorów. Na dworze jego pełno było rycerzy i duchownych Niemców czy Włochów, ale przeważał żywioł rodzimy polski, który też piastował większość dostojenstw i urzędów. Niema żadnych konkretnych dowodów, któreby stwierdzały niemczenie tego księcia, niemieckość jego otoczenia i dworu, fałszem historycznym jest też określenie go jako „niemieckiego księcia“, walczącego np. o Kraków „z Polakami“, jak to niemal bez wyjątku czyni od lat niemiecka historiografia. Nic pozytywnie o tem nie wiadomo, by Henryk IV układał niemieckie

pieśni miłosne, jedynie jako miłośnika poezji wychwalali go współcześni „minnesängerzy” niemieccy. Sam Henryk IV takim „minnesängerem” nie był i czas najwyższy zerwać w polskiej nauce historycznej z tą legendą XIX wieku. W dziejach Śląska zostanie on tym władcą, który w dobie posuniętej już dość daleko narodowej i językowej utrakwizacji kraju usiłował ten Śląsk od stu lat usamodzielniony politycznie na nowo integralnie związać z resztą Polski jako jej część składową. W dziejach zaś całej Polski imię

Henryka IV pozostanie opromienione blaskiem tej korony królewskiej, którą jej chciał przywrócić. Umierał jako ofiara nikczemności niegodnych sług, którym nadmiernie zaufał, ale stygnącą ręką niejako oddawał sztandar z ukoronowanym Orłem Białym w szczęśliwsze ręce Przemysła II, który — choć też padł rycząc tragiczną ofiarą ślepego przypadku dziejowego — przecież na krótko królewską koroną Bolesławów skroń swą uwieńczył“ (str. 324—5).

Władysław Umiński.

Moje wspomnienia z pobytu na Śląsku Cieszyńskim.

Po raz pierwszy udałem się do Wisły latem roku 1905, kiedy jako oficer rezerwy saperów byłej armii rosyjskiej „dekowałem się“ w Krakowie, zresztą całkiem legalnie, nie chcąc walczyć w szeregach rosyjskich z Japończykami. Pierwsze wrażenie, jakie odniosłem w tej miejscowości, było bardzo dodatnie. Uderzyła mnie przedewszystkiem piękna staropolska mowa tamtejszego ludu, jakby żywcem odkopana z szesnastego stulecia. Z przyjemnością rozmawiałem z góralami, lecz zauważyłem od razu, że ich świadomość narodowa znajdowała się podówczas w uśpieniu. Wiślanin zagadnięty, do jakiej narodowości należy, odpowiadał, że jest ślązakiem polskim. I nie można się było temu dziwić, gdyż inteligent polski, w tem ustroniu stanowił dawniej osobliwość. W oczach ślązaka katolicyść wiązała się ściśle z pojęciem niemca; każdy zaś polak był w jego oczach ewangelikiem, gdyż wiślanie wyznają tę religję, narzuconą im za księcia Wacława około 1555 roku. Wprawdzie przed śmiercią książę ten nawrócił się na katolicyzm i nawet prześladował w swoim państewku ewangelików, lecz mimo to, wiślanie pozostali już przy swojej wierze.

Ale wzrastający napływ inteligentów z Galicji, Kongresówki, a nawet z b. zaboru pruskiego otwierał coraz szerzej oczy ślązaka na polskość. A zastęp tych, którzy pokochali piękny Śląsk, był z roku na rok coraz liczniejszy. Wnosili oni wraz z szerszymi pojęciami do tego zakątka Polski grosz, który wydawali na swoje utrzymanie; ponadto niektórzy z nich, zamożniejsi, budowali dla siebie piękne wille, zamieniając szybko Wisłę w uroczę uzdrowisko.

Jeżeli o drze Chałubińskim można powiedzieć, że „odkrył“ Zakopane i Tatry dla szerokiego ogółu polskiego, to samo dałoby się rzec o ś. p. Bogumile Hoffie w stosunku do Wisły i jej okolic. Wprawdzie nie znalazłem osobiście Hoffa, lecz moja żona za panińskich czasów miała sposobność obcowania z nim towarzyskiego, bywał bowiem w domu jej matki. Ale to, co swojemi badaniami zapoczątkował Bogumił Hoff, prowadził dalej cały zastęp napływających do Wisły inteligentów. PP. Morzyccy zbudowali naprzeciw doliny Dziechcińskiej piękną willę w stylu zakopiańskim, projektowaną, jak się zdaje, przez p. Jerzego Warchałowskiego, która nie mało przyczyniła się do ozdoby

sięcy Polaków ze wszystkich zaborów zwiedziło Wisłę i Śląsk, który zdobywał sobie przyjaciół coraz gorętszych. Założono nawet w 1927 roku tow. „Przyjaciół Wisły” z inicjatywy ś. p. Bogdana Hoffa.

Do dziś, mimo że od owych czasów tak wiele się zmieniło, przeglądając moje bogate album zdjęć fotograficznych z Wi-

śły, wspominam z jak największą przyjemnością dni mojego tam pobytu.

Dziś polskość, mam nadzieję, głęboko już wkorzeniła się w serca dzielnych i sympatycznych górali, co stanowi najlepszą rękojmię, że ta piękna dzielnica na zawsze już pozostanie przy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej polskiej.

W Warszawie, listopad 1932 r.

Wł. Górnikiewicz.

Z dziejów oświaty na Śląsku Górnym.

Młode nasze pokolenie, nie znając dokładnie dziejów kultury Górnego Śląska, nie może pojąć, dlaczego w tem województwie niema polskiej, rodzimej inteligencji. Jedni przypuszczają, iż powodem tego był brak chęci do wyższych studjów u naszych Górnoszlazaków, inni znowu są zdania, że rzemieślnik, czy robotnik, oczywiście polski, za mało dbał o wykształcenie swych dzieci, powodowany do tego nikłemi zarobkami i związaniem z tem ubóstwem.

Czy w istocie te przyczyny działały na ten brak? Nie! Powodem tego był rząd pruski i cała struktura państwowa, której zadaniem najgłówniejszem było zniesienie Górnego Śląska i wtłoczenie przemocą w ludność polską ducha germanizmu! Przemysłano tedy cały plan za czasów Fryderyka Wielkiego i konsekwentnie do jego wykonania przez całe stulecia dążono.

Czy zabiegi i nacisk rządu pruskiego odpowiedziały zadaniu?

Co do zniszczenia polskości u ludu górnoszlazkiego nie osiągnęły rezultatów,

Literatura: 1. Benno Hein, Geschichte des Deutschtums in Schlesien; 2. Dr. E. Zivier, Zur Geschichte der Germanisierung Oberschlesiens; 3. J. Saunig, Ueber das Schulwesen im alten Beuthener Kreise vor 100 Jahren.

w kwestji zaś niedopuszczenia do wytworzenia się polskiej rodzimej inteligencji na Górnym Śląsku, skutek przeszedł oczekiwania!

A jak to było, opowiem! Dnia 16-go grudnia 1740 roku bez wypowiedzenia wojny Austrii przechodzi z wojskami, któremi sam dowodzi, Wielki Fryc granice Śląska, by, jak sam oświadczył, „zająć kraj, prawnie do niego należący, a następnie na podstawie faktu, dokonanego dopiero z Austrią, prowadzić pertrakcje! Iście pruska metoda „rozrostu” państwa! Ta niesłychana grabież w biały dzień, a według historyków pruskich, „odzyskanie” Śląska, udała się bardzo łatwo Fryderykowi Wielkiemu, ponieważ Austrija na całym Śląsku miała do obrony tylko dwa bataljony wojska i ośm kompanij grenadierów, do wzmocnienia których nadesłano później Lichtensteinowskich dragonów i trzy pułki świeżego wojska.

Twierdze takie jak Głogów, Wrocław, Nisa, Racibórz, Opole, Koźle, Opawa, Karniów i Głogówek broniły się mężnie; jedne dłużej, drugie krócej, stosownie do liczby załóg i siły murów obronnych lub zasobów żywności.

Wojska pruskie, zostawiwszy silniejsze twierdze na uboczu swego działania, roz-

zum Felddbau oder aber zum Handwerker und Professionisten employet werden.“

Rozporządzenie to skazywało zatem całą ludność polską Górnego Śląska na bezkulturę, na wymarcie duchowe; spychało ją do roli Parjasów, Helotów.

Aby broń Boże i synowie mieszczan nauką się nie zajmowali i nie stanęli na równi umysłowej z Niemcami, ogłaszało owo rozporządzenie: „Auch in den Städten sollten keine Burgersöhne sich dem kompleten Studium widmen dürfen, die nicht ein vorzügliches Genie zeigen und deren Eltern nicht des Vermögens sind, ihnen die nötigen Subsidien ohne eigenen Nachteil zu fournieren, dass aber die Kinder gemeiner Handwerker und Tagelöhner völlig vom Studieren zu exkludieren seien!“

Zatem ta sławna kultura pruska była dostępną tylko dla jednej kasty ludności, t. j. bogatych Niemców, którzy potem mieli siły ludu polskiego na G. Śląsku dla swych celów i wzbogacenia się „ekspluatować!“

Tak dbały Prusy o oświatę polskich obywateli.

Jednym ratunkiem dla polskich dzieci były tak zwane „Winkelschulen“ — szkoły prywatne, w których uczono w języku polskim, a które wskutek tego były przepełnione. W samym tylko Opolu były trzy takie szkoły. Oczywiście, że były one solą w oku rządu pruskiego i za wszelką cenę starano się je zlikwidować.

Położenie ludności polskiej na Górnym Śląsku było w owym czasie (1792 r.) rozpaczliwe. Nędza i głód panowały wszechwładnie. Ludność polska nie miała prawa własności do gruntu, który uprawiała. Musiała odrabiać ciężką pańszczyznę i była bezwolną. Mówiła językiem polskim, który zgryźliwie nazywa wizytator Peuker w swym raporcie do rządu pruskiego, eine barbarische Bastardsprache.

Lecz ta „Bastardsprache“ miała dużo „wyznawców“ i mimo edykty nie chcia-

ła się poddać i zniknąć z powierzchni Górnego Śląska ku rozpacz i zgryzocie Prus.

Jak była silną, dowodzą cyfry:

W roku 1821 polski badacz Bandtke oblicza, że na Górnym Śląsku i w Cieszyńskim mówi po polsku 750.000 ludności.

W roku 1837 w rejencji wrocławskiej mówiło po polsku 60.000 ludzi, w opolskiej 495.332.

W tymże roku w powiecie oławskim było 23 wsie polskie, w brzeskim 18 wsi, a w trzebnickim połowa wsi — polskich!!

W roku 1858 wykazuje spis ludności na całym Śląsku na 3,304.800 mieszkańców 666.666 Polaków, a spis w roku 1862 na 3,390.675 mieszkańców 719.334 Polaków; spis ludności z roku 1890 wykazuje na 4,244.264 mieszkańców 988.639 Polaków, a to: w rejencji opolskiej 934.601 — 59.24 proc. ogółu ludności, a w rejencji wrocławskiej 54.038 Polaków — 3.38 proc. ogółu mieszkańców.

Cyfry spisowe, ponieważ są „made in Germany“, przeznaczone na eksport, należy traktować bardzo ostrożnie i z zastrzeżeniami, jak wogóle wszystkie wyroby pruskie.

Polskość nie cofała się, owszem, wykazywała żywą tężyźnę, nie rozporządzała natomiast rodzimą inteligencją, nie miała rozmachu do jej rozrostu, zgilotynowana drakońskimi edyktami, które moc swoją zachowały aż do plebiscytu.

Niewiele tylko jednostek polskich potrafiło „przemknąć się“ przez „oczka“ sieci tych drakońskich rozporządzeń pruskich. Stanęły one potem na czele polskiego ludu na Górnym Śląsku i mimo szykan, więzień i kar różnego rodzaju potrafiły przyprowadzić ze wzburzonego morza nienawiści pruskiej Górnego Śląsk do cichego portu Macierzy.

Oczywiście, że na takim podłożu i w tych warunkach nie mogła wyrość polska rodzima inteligencja. Musiał zamrzeć dopływ świeżych sił do rzemiosła, handlu,

130 sq.). Praca dra J. Eisnera³⁾ i inne uparcie powtarzają wykopaliska rzymskie właśnie z czasów Marka Aurelego prawie do samej przełęczy jabłonkowskiej. Przekroczenie przełęczy jabłonkowskiej pod względem wykopalisk rzymskich monet posunął nieco naprzód inż. Wiktor Karger, kustosz Muzeum Miejskiego w Cieszynie, który też podjął z bardzo ciekawym wynikiem obecnie sprawę poruszonej przeze mnie bazy operacyjnej rzymskiej na Cieszyńskim za Marka Aurelego. Inż. Karger objął swojemi badaniami specjalnie Cierlicko Górne, a nadto inne okolice Cieszyńskiego i dziś jest w posiadaniu około 40 monet rzymskich z tego terenu, w czym liczne identyczne okazy brązowe monety opisanej przeze mnie, a więc monety używanej prawdopodobnie nie tyle w obrotach handlowych z dzikimi ludami północy, ile raczej monety, używanej na potrzeby wewnętrzne armji rzymskiej w handlu z markietanami armji rzymskiej. Nadto nieustaloną jest jeszcze proveniencja monet rzymskich z czasów M. Aurelego, pozostawionych przez ś. p. ks. Londzina. Ponieważ sprawą tą możnaby wiele wyswietlić odnośnie do historii Cieszyńskiego, byłoby wskazaniem zgłaszanie przez ludzi dobrej woli, a specjalnie przez P. T. Nauczycielstwo i Przewielebne Duchowieństwo na Śląsku wykopalisk rzymskich monet na terenie Śląska Cieszyńskiego na ręce p. inż. Kargera z podaniem miejsca uzyskania monety i środowiska wykopaliskowego, celem uzupełnienia pracy z tego zakresu⁴⁾.

Franciszek Kulisiewicz.

³⁾ Dr. J. Eisner, Prehistorický výzkum na Slovensku a v Podkarpatské Rusi roku 1928, jak wyżej, str. 121 (tamże literatura z tego zakresu).

Tenże, Numismatický časopis československý, III (1926), str. 1—14 i wiele innych.

⁴⁾ Jak ważną może być tego rodzaju pomoc, stwierdza fakt, że już po napisaniu tego apelu w przypadkowej rozmowie na ten temat wręczył mi jeden z profesorów srebrną monetę z ce-

Znaleziska monet rzymskich na Śląsku Cieszyńskim.

O znaleziskach monet rzymskich na Śląsku Cieszyńskim milczy zarówno literatura historyczna o Śląsku, jak również i archeologiczna literatura specjalna. Pomimo to od kilku lat znawcy miejscowych stosunków nie mają wątpliwości co do tego, że ziemia cieszyńska ukrywa w sobie monety rzymskie, bo od czasu do czasu. sporadycznie tylko i przypadkowo, natrafia się na nie w różnych okolicach. Mapa archeologiczna Górnego Śląska, wydana w roku 1928 przez prof. J. Kostrzewskiego (Przegląd archeologiczny, IV), nie uwzględnia wogóle naszej okolicy, zaś na mapie znalezisk śląskich, opracowanej w roku 1922 przeze mnie i Stumpfa, można było naznaczyć tylko jedno jedyne znalezisko monet rzymskich, mianowicie Jabłonków. Lata następne powiększały ilość znalezionych monet tak dalece, że nie od rzeczy będzie poinformowanie interesujących się tem zagadnieniem czytelników o obecnym stanie znalezisk na naszym terenie. Szczegółowy opis wraz z podaniem dokładniejszych wiadomości o miejscach, w których monety znaleziono, znajdzie się w przyszłości w „Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku“.

Najstarszą wzmianką o tego rodzaju znaleziskach u nas stanowi z całą pewnością notatka ks. Leopolda Szersznika, znaleziona w jego notatniku. W roku 1805 zapisał sobie krótko wiadomość o tem, że „koło Frysztatu wykopano monety rzymskie“. — W Nawsiu koło Jabłonko-

sarżową Faustyną i srebrną monetę z Markiem Aurelim, otrzymane od ucznia w Cieszynie przed dwoma laty. Pochodzenia ich nie ustalał, przypuszcza jednak, że uczeń otrzymał je w domu. Środowiska wykopaliskowego nie stwierdził i używał monet jako okazu do nauki w szkole. — Nadto szereg uczniów zgłosiło mi wykopaliska i zbiory prywatne rzymskich monet ze Śląska po zainteresowaniu ich tą sprawą. Sprawa zostanie wyjaśniona.

szono go, iż pozostał kawalerem-„rycerzem“ maltańskim. Jako ostatni „feldmarszałek“ saski dowodził w pierwszej i drugiej wojnie śląskiej saską kawalerją, z której utworzył osobną „armię konną“, liczącą podobno ponad 20.000 szabel. W nieszczęśliwej dla sprzymierzonych Austriaków i Sasów bitwie pod Lützenem dnia 15 października 1756 roku, zmuszony wraz z całą armją saską kapitulować bez wydobycia nawet szabli z pochwy, dostał się do niewoli pruskiej. Król pruski Fryderyk II wsadził nieboraka Chevaliera de Sax do wieży, gdzie go w twardem więzieniu potrzymał dłuższy czas i puścił dopiero wtedy, gdy Jan Jerzy podpisał deklarację, że nigdy więcej nie podniesie broni przeciwko królowi pruskiemu i że wogóle porzuci niewdzięczne rzemiosło wojenne.

Tego ostatniego warunku Chevalier de Sax nie dotrzymał, bo do końca życia pełnił obowiązki saskiego marszałka polnego i zajmował się nawet bardzo gorliwie reorganizacją armji saskiej, oraz był instruktorem kawalerji... austriackiej. W Polsce znany był z licznych awantur i przygód miłosnych. Zeszedł ze świata bezpotomnie dnia 25 lutego 1774 roku.

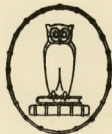
August I, zwany „Mocnym“, który jako król polski nosił imię Augusta II, był drugim synem elektora-księcia saskiego Jana Jerzego III. Urodził się August II 12 maja 1670 roku w Dreźnie, zmarł dnia 1 lutego 1733 roku w Warszawie.

Synem jego, jedynym synem ślubnym, obok kilku tuzinów podobno dzieci nieślubnych, był elektor książę saski Fryderyk August II, jako król polski, noszą-

cy miano Augusta III-ego. August III urodził się w Dreźnie 17 października 1696 roku, zmarł 5 października 1763 roku w Dreźnie. Na tron polski, wybrany po zrzeczeniu się korony przez Stanisława Leszczyńskiego i dwuletniem bezkrólewiu, wstąpił dopiero w 1735 roku.

Jednem z jego licznych dzieci ślubnych był Albert Saski (Albertus-Adalbertus, także Albrechtem zwany) trojga imion: Kazimierz August. Urodził się 11 lipca 1738 roku w Moritzburgu koło Drezna, a zmarł 11 lutego 1822 roku w Wiedniu. Służył od 1759 w armji austriackiej, gdzie w 1760 roku uzyskał stopień generała-porucznika. W 1766 roku ożenił się z córką cesarza Franciszka I i cesarzowej Marii Teresy, arcyksiężną Krystyną. Jako wiano ślubne otrzymał lenne Księstwo Cieszyńskie. Zgromadził wspaniałą bibliotekę i wspanialsze jeszcze zbiory obrazów i rysunków, które pod nazwą „Albertina“ przeszły jako fideikomis na własność arcyksięcia Karola, następnie jego syna Albrechta, a wreszcie Fryderyka „Wiesziela“. Zbiory „Albertina“ stanowią jedno z najpiękniejszych i najcenniejszych muzeów Wiednia. Czy nie należałoby starać się o odzyskanie przynajmniej tej części, która ma łączność z dziejami i kulturą Śląska i Polski? Wszak nabyto je z bogatych dochodów dóbr cieszyńskich*). T. Rr.

*) Szczegółów do niniejszej notatki zaczerpnięto z „Dziejów wewnętrznych Polski“ Korzona, z dzieł Kubali, Askenazego oraz z zapisków w Leksykonie Mayera.



Recenzje i sprawozdania.

Władysław Zabawski, *Droga do Ziemi Obiecanej*, Ruch narodowy na Śląsku Cieszyńskim i udział w nim ewangelików (1848—1920), Cieszyn 1934, Nakładem Księgarni „Nowe Kresy“ w Cieszynie, Drukarnia P. Mitreği w Cieszynie, 8-ka, str. 328, z ilustracjami. Okładkę projektował inż. Tadeusz Michejda.

Na wstępie zastrzeżenie zasadnicze: czy słuszną i potrzebną jest rzeczą, aby — jak się to obserwuje od dłuższego już czasu — sprawę odrodzenia narodowego na Śląsku traktować z punktu widzenia zasług tego czy innego wyznania? Czyż ewangelicka ludność Śląska chciała w tym czasie innego niż katolicka, czy innemi do tej Ziemi Obiecanej dążyła drogami? Czy też raczej właśnie sprawa narodowa nieraz kazała obu wyznaniom zapomnieć o różnych swarach wyznaniowych i łączyć się we wspólnej walce. Fakt, że odnośnie do tych czasów jedna i druga strona stara się specjalnie podkreślić zasługi jednego wyznania znacznie zaciemnia prawdziwy obraz. Tak jest też i z książką p. Zabawskiego. Stara się wprowadzić autor — trzeba to z całym naciskiem stwierdzić — być bezstronnym (choć może niezawsze mu się to udaje), nie zawaha się nawet nieraz przeprowadzić porównania z obozem katolickim na niekorzyść ewangelików, samo jednak podejście do zagadnienia z punktu widzenia zasług jednego wyznania wycisnęło swe piętno na całej pracy, wywołało cały szereg sprzeciwów z obozu drugiego, nie dało też pełnego obrazu tego okresu na Śląsku. I jednak jest chyba korzyść z takiego ujęcia tematu, a to ta, że tem wyraźniej widać — co zresztą sam autor niejednokrotnie stwierdza — ile szkody sprawie narodowej na Śląsku przyniosły spory wyznaniowe, przyczem winą — zdaje się — dzielą się oba obozy w równej części.

Pominąwszy jednak to zastrzeżenie zasadnicze, odnoszące się zresztą nietylko

do tej książki, lecz wogóle do stosunku różnych badaczy śląskich do tych czasów, stwierdzić należy, że książka p. Zabawskiego jest bardzo cennym przyczynkiem dla okresu odrodzenia narodowego na Śląsku. Treść jej jest niezwykle bogata, zawiera cały szereg fragmentów z przeszłości Śląska, poczynwszy od roku 1848 aż do rozstrzygnięcia sprawy śląskiej na terenie międzynarodowym. Nie sposób tu nawet wymienić tych wszystkich kwestyj, jakich autor dotyka, cała książka jednak mówi o tej niezwykle zaciętej walce, jaką ustawicznie toczyć musiała ludność polska śląska z Niemcami, nie cofającymi się przed najbardziej bezwzględniemi środkami. Daje autor dalej obraz walki naszej z Czechami, przedstawiając jej początki i metody jakże podobne do tych, jakie i dziś po tamtej stronie Olzy obserwujemy. Przedstawia niezwykle szkodliwą działalność Koźdonia i jego zwolenników. Daje dalej autor sylwety zasłużonych działaczy śląskich Pawła Stalmacha, ks. Franciszka Michejdy i jego brata, dra Jana, Jerzego Cieńciały, Franciszka Górniaka i innych. Nie szczędzi też nieraz autor ostrych słów krytyki pod adresem tych, którzy mniej lub więcej świadomie sprawie narodowej na Śląsku szkodzili, przyczem najostrej obszedł się autor — zresztą zupełnie słuszenie — z Radą Narodową, jej niezdolności do decyzji i czynu, przypisując główną część winy niekorzystnego rozstrzygnięcia sporu z Czechami. Materiał książki bogaty, barwnie i zajmująco ujęty.

Co jest jednak na bardziej wartościowe w tej interesującej książce, to świadectwo, jakie autor daje patriotyzmowi śląskiej ludności. Każda karta jego książki, to wspaniały obraz nieugiętej postawy ludu śląskiego, który wsparty tylko o słabą pomoc rodaków z innych części ziem polskich, wspomagany przez nieliczną inteligencję, która tu przybyła głównie

z byłej Galicji, zasadniczo sam, prowadzo-
ny przez przywódców z tego ludu wy-
rosłych, wywalcza sobie drogę do Polski.
Jakkż dumnie brzmią przytoczone w tej
książce słowa chłopu śląskiego, pośła Je-
rzego Cieńciały, wygłoszone do posłów
niemieckich w sejmie śląskim: „Moi Pa-
nowie, muszę wam oświadczyć, że ludność
polska Księstwa Cieszyńskiego nie ma
przyczyny do poniżania się, aby jako
szczenięta zabierała odrobiny, spadające
ze stołu panów, gdyż my także chcemy
być i jesteśmy panami na własnej ziemi.
Lud się już ocknął i nie pozwoli się nadal
ogłupiać. Co do waszych rad i pouczeń,
dziękujemy za nie, gdyż my sami wiemy
najlepiej, czego nam trzeba.“

W książce swej autor często oddaje głos ówczesnym działaczom, cytując ich przemówienia czy artykuły, co jeszcze lepiej pozwala się wczuć w tamte czasy, pozwala lepiej zrozumieć i ocenić tych działaczy.

Wszystkie wyżej wymienione walory sprawiają, że książkę czyta się z wielkim zainteresowaniem, a równocześnie z wielkim pożytkiem, gdyż zawiera ona wiele cennego materiału do poznania tego najważniejszego przecie dla Śląska okresu, okresu zmagañ ludu śląskiego, zapatrzonego w cel, który tak pięknie scharakteryzował w swym cytacie ks. Fr. Michejda: „Idziemy z niewoli, ciągniemy puszcza, pijemy z gorzkich wód, cierpimy niedostatek chleba, szemrzemy przeciw sobie, swarzymy się, ale przyszłe pokolenia wejdą do Ziemi Obiecanej.“ *k. p.*

—oOo—

Ks. Karol Kotula, Jan Śliwka, pionier polskiego szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim, Warszawa, Drukarnia „Głosu Ewangelickiego“, 1933, Odbitka z „Głosu Ewangelickiego“, 8-ka, str. 155 + nlb. Z ilustracjami.

Praca ks. Kotuli, jak się dowiadujemy z przedmowy, jest pozgonnem spełnieniem życzenia, wyrażonego przed śmiercią przez Jana Kubisza pod adresem au-

tora, by opracował życiorys Jana Śliwki, zasłużonego a zapomnianego pracownika na niwie szkolnictwa na Śląsku. I dobrze się stało i sprawiedliwie, że ta, tak jakby zapoznana, postać zasłużonego pracownika doczekała się obszerniejszego opracowania, że ją pokoleniu dzisiejszemu i potomnym przypomniał ks. Kotuła. Monografia jego spleca choć w części dług wdzięczności wobec pamięci tego cichego bojownika o prawa ludu polskiego w dziedzinie szkolnictwa na Śląsku i uczy szanować te, zdaje się jakby bardzo odległe, a w rzeczywistości tak nam bliskie czasy.

Monografię swą podzielił autor na poszczególne rozdziały, w których omówił kolejno młodość Jana Śliwki, jego działalność na polu szkolnictwa i organizacji nauczycielstwa, pracę piśmienniczą, pracę w ewangelickim zborze cieszyńskim, pracę społeczną i polityczną, wreszcie jego życie prywatne. Osobny rozdział poświęcony został stosunkowi Śliwki do ks. Otto i ich owocnej współpracy. Obszerna charakterystyka postaci i pracy Jana Śliwki, która jest zakończeniem książki, wypukła jedno i drugie.

Autor pojął swoją pracę nadzwyczaj poważnie. Z odsyłaczy, jak i samego tekstu wynika, że przetrwał nie tylko całą dostępną mu literaturę, w której mowa lub choćby tylko najdrobniejsza wzmianka o Śliwce, lecz więcej; zadał sobie trud przewertowania dawnych protokołów czy to konferencyj nauczycielskich, czy zebrań prezbiterstwa zboru cieszyńskiego, czy innych trudno dostępnych materiałów. Wiedząc zaś, że oprócz nielicznych specjalistów, szersze koła czytelników nie są dobrze poinformowane o stanie szkolnictwa powszechnego (ludowego) w ubiegłym stuleciu, że nie zdają sobie sprawy ze stosunków panujących w epoce, w której żył Śliwka, podmalował tło dziejowe w krótkich, rzeczowych dwóch rozdziałach, aby dopiero na takim tle przedstawić cały ogrom pracy żywota Śliwki.

Wyraz „ogrom“ w odniesieniu do pracy, wykonanej przez Śliwkę, nie jest wcale przesadą. Nieliczni tylko pracownicy na niwie narodowej Śląska Cieszyńskiego mogą być w jednym z nim rzędzie postawieni, gdy o pracowitość i jej owoce idzie, a niewielu tylko go przewyższa. — Urodzony w Ustroniu (5. II 1823) jako syn biednego komornika, wprawiany od młodu do ciężkiej pracy i w twardych wyrastając warunkach, udaje się, dzięki pomocy ks. Koczego, do ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie, gdzie już jako dziecko zarabia na utrzymanie lekcyjami i pozaszkolną pracą. W roku 1845 obejmuje posadę nauczyciela w Końskiej, by w 1851 przenieść się na stałe do Cieszyna. Obarczony licznymi zajęciami, zasługuje się ludowi polskiemu dzięki swej usilnej pracowitości, przede wszystkim przez opracowywanie i wydawanie polskich podręczników szkolnych, przyczyniając się w ten sposób do wyparcia ze szkół podręczników czeskich lub przestarzałych, dalej przez głoszenie i rozpowszechnianie nowych metod nauczania i nowych myśli pedagogicznych (wykłady na konferencjach nauczycielskich, zakładanie bibliotek szkolnych i t. d.), przez tworzenie ówczesnych organizacji nauczycielskich. Jego praca jako publicysty wykazuje kilkanaście pozycji, wszystkich nieomal niezmiernie wartościowych. Pracami temi najlepiej się Śliwka zasłużył polskiej sprawie na Śląsku i niemi to w pierwszym rządzie zasłużył sobie na wdzięczność polskiego społeczeństwa.

Jako długoletni sekretarz ewangelickiego zboru i członek presbiterstwa działał i na tym terenie dla sprawy narodowej, pracując z całą świadomością, jak powiada ks. Kotula, „nad wyzwoleniem zboru z pod wpływów niemieczyzny“, narażając się niejednokrotnie na ataki ze strony prasy niemieckiej i miejscowych Niemców.

Zasługą pracy ks. Kotuli jest to, że te wszystkie sprawy przypomina, a przez to

odprósza pył zapomnienia, okrywający szlachetną postać jednego z najzasłuższych pracowników na niwie narodowej na Śląsku, że wyprowadza na światło dzienne polskość Śliwki i jego pracę dla tej polskości. Przez zamilczanie jego pracy działa się Śliwce krzywda. Praca ks. Kotuli nie tylko usuwa ją, lecz rzuca też przytem sporo światła na dzieje ruchu narodowego na Śląsku. Prostuje też ona szereg zarzutów, zwracanych pod adresem Śliwki przez Stalmacha, zarzutów, polegających na nieporozumieniu lub nieświadomości.

Zewnętrzna szata książki, jej przejrzysty układ i liczne fotografie dodają tej pracy specjalnego uroku i podnoszą jej wartość.

Ks. Andrzej Wantuła.

—○○○—

Ks. Oskar Michejda, **Kapłan czy polityk?** Ewangelik, organ Twa Ewangelickiej Oświaty Ludowej na Śląsku czesko-słowackim, Czeski Cieszyń, 1933, 30—42, 44—51; 1934, I—II.

Szereg artykułów senjora Oskara Michejdy tworzy jedną całość i daje bardzo interesujące przyczynki do dziejów Śląska Cieszyńskiego w drugiej połowie XIX wieku*). Podstawa tej pracy jest przypadkowa: autora, pastora w Trzyńcu i senjora polskiego kościoła ewangelickiego za Olzą, zaatakował „Nasz lud“ (1933, 28) za jedno zdanie, wypowiedziane w przemówieniu nad grobem zasłużonego dla polskości ś. p. Andrzeja Macury. W zdaniu tem autor przypomniał superintendenta dra Haasego jako „nieprzejednanego wroga polskości naszego ludu śląskiego“. Zdanie to „Nasz lud“ przekreślił.

*) Poszczególne części artykułu noszą odpowiednie tytuły (Kaplan czy polityk, 1933, 30-36; Ewangelicki szpital w Cieszynej, 1933, 37-40; Ks. dr Haase a zbór bystrzycki, 1933, 41-42; Ks. dr Haase a zbór w Hillersdorfie, 1933, 44-47; Ks. dr Haase a ewangelicy, 1933, 48-51; Ks. dr Haase a polska sprawa narodowa, 1934, 1-11), razem jednak tworzą jedną całość.

a istotę jego negował. Autor wystąpił więc z wyjaśnieniem, które pod piórem rozrosło się w szereg artykułów, dających źródłowe oświecenie roli Haasego w życiu narodowym Śląska Cieszyńskiego.

Pamiętnikarze śląscy Kubisz, Pindór i Cinciała zgodni są w ocenie Haasego: ten szef kościoła ewangelickiego na Śląsku i na Morawach był przede wszystkim politykiem, a pomimo różnych węzłów (nawet rodzinnych), łączących go z Polską, był germanizatorem, wykorzystującym ogromne swe wpływy i stosunki w Opawie i w Wiedniu na niekorzyść polskości. Ale sam Haase stwierdził polskość Śląska Cieszyńskiego, kiedy starał się o stanowisko śląskiego senjora. Wydał wówczas w polskim języku Postyllę Grzegorza z Żarnowca (Cieszyn 1864), wielkie, przeszło 40 arkuszy druku in 4^o liczące i ozdobnie drukowane dzieło, a wydania tego, jak sam w przedmowie mówi, dokonał, aby złożyć dowód, jak bliscy mu są Polacy, „jak mnie, aczkolwiek Niemcowi, język ich jest miłym, jak cenić umiem piśmiennictwo ich i jak mnie zawżdy znajdują z natężeniem wszelkich sił gotowego do przysłużenia się im“. A później, gdy w wyniku ugody z Michejdami z dnia 9 sierpnia 1882 obrany został superintendentem morawsko-śląskim, jako dowód wdzięczności sporządził staranne wydanie kazań Reja (Cieszyn 1883). Ale to mu nie przeszkadzało zajmować wrogiego stosunku do gimnazjum polskiego w Cieszynie, do usiłowań wprowadzenia języka polskiego do administracji i t. d.

Autor artykułów o Haasem, syn i bratanek znanych, pełnych zasług działaczy narodowych, odgrywających zarazem wśród ewangelików polskich wielką rolę, stał blisko działalności Haasego i do dotychczasowych naszych wiadomości o nim dorzucił niejedną interesującą szczegół. Widzimy na przykładzie walki z pastorem Kolatschkiem z Hillersdorfu, że Haase i Niemców opornych zwalczał. Ale najwięcej gorliwości wnosił do akcji

germanizatorskiej, jak to widzimy na sprawie pastora Jerzego Badury, którego działalność (nawiasem mówiąc) powinna się doczekać bliższego zbadania, jako zasłużonego dla polskości na Śląsku pisarza i działacza.

Praca senjora Oskara Michejdy zasługuje na wzmiankę w „Zaraniu śląskiem“ i na przeczytanie, w tym zaś celu pożądane byłoby wydanie jej w odblasku. Skoro zaś o dezyderatach mowa, niech mi wolno będzie wyrazić jedno życzenie. Dzieje ewangelicyzmu na Śląsku wzbogacają się ostatnio niejednym cennym opracowaniem historycznym czy zboru czy ważniejszej postaci; dalsze bardzo są pożądane i tematów nie zabraknie. Ale jest jeden temat ogólny, zasługujący na zbadanie, a o ile mi wiadomo, nieopracowany: to przedstawienie kierunków ideowych, nurtujących społeczeństwo ewangelickie na Śląsku, wyjaśnienie etapów myśli, uwidocznienie głębokich różnic między racjonalizmem Niemców-ewangelików a pojmowaniem religii przez Ślązaków, tkwiących mocnymi korzeniami w piśmiennictwie polskim, do którego czucie i wiara silniej przemawiało, „niż mędrca szkiełko i oko“.

W. Olszewicz.

—ooOoo—

Ludwik Łakomy, **Obrazki z powstań górnośląskich**, Warszawa 1934, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, Biblioteczka żołnierza polskiego, tomik XXII, stron IV + 75 + 1 nlb. Z ilustracjami.

Był to w zasadzie zupełnie dobry pomysł, by dla biblioteki żołnierskiej napisać tomik opowiadań z powstań śląskich, ale wykonanie pomysłu niezupełnie wypadło szczęśliwie. Tomik Łakomego ocenić można z dwóch punktów widzenia: jako beletrystykę dla żołnierza i jako przyczynek do literatury pięknej o powstaniach. W pierwszym wypadku radzi- byśmy widzieli raczej opowiadania krót-

sze, bardziej instruktywne (do pewnego stopnia żołniersko-wychowawcze), obejmujące powstania śląskie (nie tylko górnośląskie) w różnych fazach i różnym nasileniu, opowiadania bardziej prawdopodobne, gdzieś nietylko Polacy zwyciężali, bo takie ujęcie sprawy podważa mocno autentyczność i realizm opowiadań. Przecie to nie wstyd przyznać, że lichy lub nawet nieraz zupełnie nieuzbrojeni powstańcy ulegli doskonale zorganizowanym i uzbrojonym Niemcom. Takie ujęcie byłoby nawet silnie uwypukliło bohaterstwo polskich powstańców.

W dość bogatej już beletrystyce powstaniowej te dwie nowele nie stanowią wybitniejszej pozycji. Tematu nie wzbogacają o nowe szczegóły — ani nie wyróżniają się oryginalnością ujęcia. Zarówno w fakturze, jak i stylu tych nowel wpływ twórczości Morcinka (choćby bezwiedny) jest niezaprzeczalny. Nie jeden Łakomy zresztą mu uległ. Ale poziom artystyczny nowel Łakomego jest niższy. Autor bowiem nie posiada tej miękkiej ręki Morcinka w kreśleniu postaci i charakterów, nie posiada umiejętności przedstawiania drażliwych sytuacji w sposób artystyczny, a nieraz staje wręcz na pograniczu trywialności (str. 58 i in.). Trudno zaprzeczyć Łakomemu talentu narratorskiego, posiada go, ale zdolność ta musi być pieczołowicie pielęgnowana. Narazie mamy tylko zadatki talentu, lepsze („Na dziewiętej pochylni“) i słabsze („Obrazki“). Chciałbym i na tem miejscu podnieść, co już podkreślałem przy innej sposobności: autor nie powinien uprawiać zbyt wiele dziedzin; powinien się ograniczyć do jednej grzędy, ale w tę włożyć maksimum pracy, całe swe zdolności. O ile z dotychczasowej twórczości Łakomego zorientować się można — to jest tą „grzędą“ właśnie nowelistyka. Warto, by jej autor poświęcił swą uwagę.

A. Iesionowski.

—○○○—

Zofia Kossak-Szczucka, Pątniczym
szlakiem, Wrażenia z pielgrzymki, Nakład
księgarni św. Wojciecha (bez daty), str.
245 + 3 nlb. Z ilustracjami.

Dostać się dziś do Ziemi Świętej nie należy wcale do rzeczy trudnych: wsiada się na pociąg, który czleka wyrzuca w jednym z portów, okupuje się część kabiny okrętowej, rozkoszuje przez kilkadziesiąt godzin huśtawką morską i — już się jest u celu podróży. Nic łatwiejszego, oczywiście, gdy się ma paszport w kieszeni i trochę pieniędzy.

Wykazuje to autorka „Pożogi“, która taką właśnie podróż sobie urządziła, przyłączając się do pielgrzymki, zorganizowanej przez biuro podróży Frankopol. Owocem tej podróży są wrażenia z pielgrzymki, zebrane w podanej w nagłówku książce.

Powiedzieć odrazu trzeba, że książkę tę czyta się „jednym tchem“. Autorka umie przykuć uwagę czytelnika swojemi wrażeniami i opisami zwiedzanych krajów. Czytelnik ogląda wraz z nią najpierw Egipt, potem najważniejsze miejscowości Ziemi Obiecanej, Jerozolimę, Betlehem, ruiny Jerycha, Nazaret, Kaper-naum i inne, wkońcu Ateny i Konstantynopol. Nawet ten, kto te miejsca zwiedził, znajdzie tu niejedno na co nie zwrócił uwagi lub czego mu nie pokazano. Nie każdy może mieć takich przewodników, jacy stali do usług autorce np. w Egipcie.

Ó ile się zorientować można, jest Szczucka wierzącą i praktykującą katoliczką. Tem więcej jest się ciekawym, jak też wypadną opisy pewnych miejsc świętych w Jerozolimie czy Betlehem i jakie stamtąd wyniosła autorka wrażenia. Miło jest stwierdzić, że książka od pierwszej do ostatniej stronicy nie zawiera nic takiego, co by kogokolwiek razić mogło. Opisy są pełne smaku i umiaru, nie zawierają w sobie nic z naiwności, jaką łatwo spotkać można w podobnych publikacjach. Wysoki poziom intelektu-

alny autorki nie pozwolił jej zejść na manowce płytkich uniesień i tanich zachwytów, wywoływanych zazwyczaj pamiątkami wątpliwej wartości.

Religijność Szczuckiej jest mocno zintelektualizowana. Wpływ tego zaznaczył się wyraźnie w sposobie odbierania i notowania wrażeń. To też w książce więcej jest refleksyj, niż zaznaczenia stanów uczuciowych, na które zwłaszcza ten,

kto te kraje zwiedzał, nadewszystko byłby ciekaw. Tu i tam możnaby zarzucić autorce, że pozwoliła się za bardzo unosić fantazji, rozbudzonej widokiem miejsc świętych — np. w ustępie dotyczącym Nazaretu — lecz książka nie straciła przez to nic na wartości. W ubogiej literaturze polskiej, dotyczącej Ziemi Świętej, zajmie ona poczesne miejsce.

Ks. Andrzej Wantuła.

Materjały.

Co przed studwudziestu laty Brenniacy
jedli na weselu i jak te potrawy przy-
rzadzali?

Za dawnych czasów ludzie w górach gotowali na nalepach w glinianych garnkach o trzech nogach. Chleb i kołaczki piekli w piecach piekarskich, które sobie sami zbudowali.

Śniadanie składało się z kawy ze żyta i kołaczy, maczanych w rozpuszczonym maśle albo miodzie.

Obiad: 1. Ugotowali grochu i nalali rosółu z mięsa wołowego; mięso brali do ręki i przygryzali do zupy; jedli z jednej misy, widelców i noży do jedzenia nie znali, kartofle spożywano z sosem chrzanowym. 2. Rosół wieprzowy z pogańską kaszą, gotowana wieprzowina z kapustą. 3. Rosół skopowy z ryżem, mięso gotowane ze sosem grzybowym. 4. Kiszki (czyli „jelita“) pieczone z kapustą. 5. Pieczeń cielęca z suszonemi śliwkami, jabłkami i gruszkami (pieczkami). 6. Czorno polewka z flaków i płuczek.

Po obiedzie dali trzy duże kofały na stół, starosta je krajał i obdzielał weselników. Mięso podawali już pokrajane na miskach glinianych, starosta je podawał gościom według swego upodobania: kto był mu sympatyczny, temu podawał najlepsze kawałki mięsa. U biednych dawano

tylko dwa rodzaje mięsa, czorną polewkę i kołacze. Na wieczerzę podawali do jedzenia to samo, co na obiad.

Kobiety miały duże kieszenie we welnionkach (sukniach) i gdy nie zjadły mięsa, chowały je do kieszeni; przynosiły też ze sobą serwetki z płótna domowego i chowały w nie kołaczki; każda wiesielniczka niosła węzeł jedzenia z wesela.

Pan młody (żeńich) częstował gości winem białem, družba zaś winem czerwonym, starosta i goście częstowali wódką. Nie nalewali trunków do kieliszków, lecz pili wprost z flaszki. Każdy „wiesielowy“ miał flaszkę w kieszeni.

Kołacze piekły kobiety w następujący sposób: Wieczorem zarobiły kwasę na nieckach z mąki pszennej, nakryły go dobrze, zostawiły przez noc i rano dopiero dosypały mąki pszennej i wyrobiły ciasto z wodą i solą, bo wtedy ludzie nie wiedzieli, że można ciasto z mąki pszennej wyrobić z mlekiem. Nie znali wtedy ludzie blach do pieczenia; obmywali kołacz zimną wodą, wsunęli na podłużnej łopacie do pieca piekarskiego i piekli na gołym piecu.

Zamożniejsi nakładli na taki placek (kofacz) suchego twarogu, bryndzy lub powidel, biedniejsi dawali, o ile wesele odbywało się w jesieni, śliwek lub krajanych jabłek, a najbiedniejsi nie nakładali

